Nr. 7 (1465) Warszawa, 13 Lutego 1909 r. Rok XXIX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

Od Polskiego Zjednoczenia Postępowego.

Kiedy zwarte szeregi jednego stronnictwa stanęły do walki wyborczej i drogą niesłychanego nacisku wprowadziły do Koła polskiego zamianowanych przez siebie kandydatów, protestowaliśmy razem z innymi przeciw nadużyciu przewagi liczebnej, demagogicznymi środkami osiągniętej, ostrzegając przed zgubnymi jego skutkami.

Głos ten był daremny.

Ogłoszenie się narodowej demokracji za jedyną strażniczkę uczuć patryjotycznych i godności narodowej — pociągnęło do niej tłumy. Uwierzono, że wybrańcy staną się obrońcami sprawy narodowej. Rzeczywistość rozwiała te złudzenia.

Koło polskie zdradziło sztandar, pod którym walczyli jego wyborcy, — a w niegodnych przetargach działalność swą zamknąwszy, straciło jedyną siłę, jaką może mieć przedstawicielstwo narodu zależnego — niezmienną i niepokonaną idejowość stanowiska.

Rozległ się głos protestu przeciw polityce reprezentacji polskiej, która znalazła się bez oparcia — nawet we własnym rozbitym obozie.

W takiej chwili, zebrani w Pałacu Błękitnym najwierniejsi stronnicy partyjni dali Votum zaufania Kołu polskiemu.

Brzmi to jak wyzwanie rzucone społeczeństwu.

Wyzwaniem jest bowiem dane posłom przez to zgromadzenie pełnomocnictwo do trzymania się nadal dotychczasowego kierunku polityki w Izbie państwowej.

W poczuciu krzywdy, jaka stąd dla kraju wyniknąć musi, w poczuciu odpowiedzialności, jaka za czyny przedstawicielstwa nad całym ciąży narodem — Polskie Zjednoczenie Postępowe, idąc za głosem sumienia obywatelskiego, protestuje przeciwko stanowisku, zajętemu przez Koło polskie i oświadcza:

Zważywszy—że Koło polskie w Izbie państwowej doszło do politycznego bankructwa, będącego następstwem zasadniczo błędnie wykreślonej linji działania; że Koło polskie nadal tej samej taktyki trzymać się zamierza i, zamiast zerwać, chce wiązać dalej pęta zgubnych kompromisów, — że nie pojęło i dziś nie rozumie potrzeby walki o podstawowe zasady odrodzenia i postępu;

zważywszy—że Koło polskie nie tym zawiniło, iż w obecnych warunkach nie wywalczyło dla kraju realnych korzyści, — lub, że wskutek błędów politycznych nie zdołało żadnego ciosu od kraju odwrócić — ale że, korną przyjąwszy postawę i krętych używając dróg, narodowej czci uwłacza, a wielolicowe przybierając maski narodowego ducha staje się zaprzeczeniem;

zważywszy — że dalsza działalność dzisiejszego Koła, zgodna z udzieloną w Pałacu Błękitnym dyrektywą, niepowetowane straty przynieść musi krajowi; że—wobec utraty oparcia w Narodzie a powagi i znaczenia w Izbie Państwowej, Koło Polskie tym mniej uważane być może za powołane wolą zbiorową przedstawicielstwo;

zważywszy wreszcie, że kolegja wyborcze, powołane jedynie do zagłosowania mianowanych z góry kandydatów — nie są również wyrazem zbiorowej woli społeczeństwa, przeto — ze stanowiska ogólnie narodowego i demokratycznego nie mają prawa obsadzania wakujących mandatów:

Polskie Zjednoczenie Postępowe domaga się **złożenia mandatów przez wszystkich członków obecnego Koła i przez członków obecnych kolegjów wyborczych.**

Żądamy tego nie w imię haseł partyjnych, lecz w imię swych praw i obowiązków obywatelskich.

Gdybyśmy nawet w obecnych warunkach mieli być pozbawieni na czas pewien przedstawicielstwa, ponieślibyśmy mniejsze straty niż posiadając takie, które nam wyrządza krzywdę — i wtedy gdy mówi, i wtedy kiedy milczy.

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z innego „Koła".

Jedną z najdonioślejszych spraw, jakie się rozgrywały w ostatnich tygodniach w stosunku do życia politycznego Polaków, była sprawa reformy wyborczej w Prusach

Wiemy naogół, że ordynacja w Prusach jest zła, przestarzała, że domaga się reformy, mało kto jednak zdaje sobie sprawę, jak dalece słuszne są twierdzenia lewicy niemieckiej, że jest ona najgorszą, najreakcyjniejszą z istniejących na świecie. Jest to najjaskrawsza antyteza czteroprzymiotnikowej demokratycznej formuły, łącząca w sobie największą *nierówność*, najtendencyjniejszą *jawność*, najsprytniej obyśloną *pośredniość*, skutkiem czego *względna powszechność* staje się niemal fikcyjną. Nie zaszkodzi przy tej sposobności przyjrzeć się temu misternemu systemowi wyborów, zwłaszcza, że kwestja reformy nierozstrzygnięta niebawem zapewne znowu wypłynie na porządek dzienny, przyczym wyłonią się wnioski kompromisowe, których niepodobna zrozumieć, nie znając istniejącej dziś ordynacji.

Jak wspomniano, pod względem powszechności najmniej pozostaje do życzenia, na listę wyborczą wpisany bowiem jest każdy poddany pruski, płacący jakiekolwiek państwowe czy gminne podatki, że zaś ludność Prus jest mocno opodatkowana, wyjątków znajdzie się bardzo niewiele. Listy wyborcze układane są w porządku takim, że przy każdym nazwisku notowana jest suma podatków, na czele listy idzie wyborca najwięcej płacący, po nim kolejno coraz mniej opodatkowani, aż do najuboższych. Ogólną sumę podatków dzieli się na trzy części, a odpowiednio do nich listę wyborczą na trzy klasy, z których każda opłaca $^{1}/_{3}$ ogólnej sumy podatków danego okręgu. Pierwszą klasę stanowi zatym często kilku lub kilkunastu najbogatszych, drugą kilkudziesięciu średnio majętnych, trzecią setki ludzi niezamożnych lub biednych. Każda klasa wybiera równą listę wyborców, a ci większością głosów — posła.

Widzimy więc, że nierówność doprowadzono tu do granic wprost niedorzecznych i że rządy Prus oparte są na niesłychanym przywileju kieszeniowym, gdyż prawa polityczne bogacza mogą do praw politycznych biedaka pozostawać w stosunku np. 300 : 1. To jest właśnie kardynalną wadą systemu pruskiego. Drugą, wynikającą z tej samej tendencji, jest jawność wyborów unormowana tak, że wyborcy wszystkich klas zjawiają się równocześnie w lokalu wyborczym, lecz trzecia klasa głosuje najprzód, poczym lokal opuszcza, po niej — druga, a w końcu — pierwsza, co pozwala pierwszej klasie kontrolować głosowanie drugiej i trzeciej, lecz bynajmniej nie odwrotnie. Jeżeli nierówność wyborów gwarantuje przywilej kieszeni, jawność gwarantuje przywilej zwierzchności; pracodawca bowiem rozporządza nietylko swoim głosem lecz głosami swoich podwładnych.

Nawiasem mówiąc — ten nędzny system wyborów mimo swych rażących błędów nie posiada dwuch cech ujemnych systemu naszego. Po pierwsze, nie krępuje wyboru kandydatów ich przynależnością do danego okręgu wyborczego, gdyż każdy poseł może kandydować w jakimkolwiek punkcie kraju; powtóre, pełnomocnictwo wyborców upada z chwilą dokonania wyboru — i w razie konieczności powtórnego wyboru, prawyborcy odzyskują swe prawa. Nikomu też — jak Prusy długie i szerokie — nie przychodzi na myśl zwoływać na sprawozdawcze zgromadzenie samych tylko t. zw. „wahlmanów", jak to się dzieje u nas, gdyż nikt na pośredniości wyborów nie opiera jakiejś nowej hierarchji obywatelskiej.

Rezultaty systemu pruskiego najłatwiej ocenić przez rozpatrzenie składu sejmu. Murowaną większość posiada tam stronnictwo konserwatywne; potęgę stanowią nar. liberalni — rekrutujący się ze sfer finansowych i przemysłowych, wolnomyślni — przeważnie inteligiencja niezależna, szczupłą gromadkę; Polacy — zwolna, lecz stale topniejącą garstkę; socjaliści — niedawno trzecia z rzędu partja w parlamencie, — dopiero w ubiegłym roku po raz pierwszy wprowadzili kilku posłów do sejmu.

Dla nas Polaków kwestja reformy wyborczej jest palącą nietylko dlatego, że skutkiem coraz większego bogacenia się Niemców w dzielnicach polskich i coraz większej zależności Polaków, liczba posłów polskich w sejmie topnieje, lecz że przywilej wyborczy służy w pierwszym rzędzie klasom najsilniej hakatyzmem przeniknionym, a większość spraw nas bezpośrednio dotyczących, nie w parlamencie lecz właśnie w sejmie pruskim rozstrzyganą bywa.

Jest więc rzeczą całkiem naturalną i rozumiejącą się sama przez się, że Polacy przyłączyli się do wniosku wolnomyślnych, żądając wprowadzenia w Prusach tegoż co w Niemczech systemu wyborczego, t. j. powszechnego, bezpośredniego, tajnego, równego głosowania. Wniosek ten upadł jak również i wniosek narodowych liberałów, żądający pluralności wyborów przy wprowadzeniu bezpośredniości i tajności. Ten ostatni upadł tylko *trzema głosami* większości.

Uchwały pruskiej izby sejmowej wymagają jeszcze potwierdzenia izby panów i monarchy; być może więc, że nawet przeciwny rezultat głosowania nie byłby rozstrzygnął samej sprawy reformy, niemniej byłby ją znacznie posunął naprzód. Rząd przez postawienie projektu tego na porządku dziennym osiągnął to, czego chciał, to jest ustępstwo konserwatystów na punkcie dochodu od spadków, a zarazem odroczenie reformy, o której nadmiernie pesymistycznie powiedział Goldbeck, że byłaby początkiem upadku Hohenzollernów.

W każdym razie sam rezultat głosowania świadczy, że sprawa jest już zupełnie dojrzała i że wielkim musi być nacisk opinji, kiedy ta Izba — całkowicie na klasowym przywileju zbudowana — tak mocno się już skłania do podkopania własnych swych fundamentów. To też równocześnie dochodzą z całych Niemiec wieści o masowych zgromadzeniach i demonstracjach ulicznych na rzecz powszechnego głosowania.

A jakież wieści dochodzą z dzielnic polskich? Zdumiewająco smutne.

Oto do gnieźnieńskiego *Lecha* piszą z Berlina, że w pamiętnym głosowaniu nad projektem reformy prawa wyborczego, *aż 8-miu posłów polskich nie wzięło udziału*; Polakom zatym zawdzięczają Prusy ostatnie zwycięstwo hakatystycznych junkrów.

Byłoby zbyt hańbiącym dla dobrego imienia tych posłów, gdybyśmy w fakcie tym podejrzewali tendencyjne wysługiwanie się partji rządzącej podtrzymywanemu przez nią rządowi lub też przekładanie własnego przywileju klasowego ponad interes narodu. To ostatnie przypuszczenie byłoby nieomal śmiesznym, zważywszy, że walka wyborcza w dzielnicach polskich toczyła się wyłącznie między Niemcami a Polakami, a walka stronnictw polskich — o ile tam o stronnictwach może być mowa, rozegrywa się tylko na przedwyborczych zgromadzeniach, na których przebieg ordynacja wyborcza nie wpływa.

Przyczyną tej gorszącej nieobecności Polaków jest raczej głębiej zakorzenione, choć mniej hańbiące zło — wypielęgnowane i wyhodowane przez tradycje Koła polskiego, mianowicie jego solidarność i tajność obrad — a stąd usuwanie go z pod kontroli opinji publicznej. Te właśnie tradycje, tak skwapliwie na grunt nasz przenoszone, zdemoralizowały nasze przedstawicielstwo w Berlinie. Dawno już miewaliśmy dowody, że osloną solidarności i tajemnicy pokrywa się nie tylko rażące pomyłki polityczne i wykroczenia przeciw moralnym zobowiązaniom przyjętym wobec wyborców, lecz przedewszystkim karygodne lenistwo, niedbalstwo, graniczące z nieuczciwością lekceważenie obowiązków poselskich. Już dawno narzekano na to, że w czasie najważniejszych dla nas rozpraw większość Koła świeciła nieobecnością, lub że solidarne Koło zgoła nie wiedziało, kto z jego członków będzie lub był na posiedzeniu komisji omawiającej projekty prawodawcze pierwszorzędnej wagi. Dla tego też w końcu października b. r. gdy Koło polskie ukonstytuowało się na nowo i potwierdziło swój dawny regulamin — *Goniec Welkopolski* w artykule „Tradycje Koła", w bardzo spokojnym tonie lecz bardzo wymownymi argumentami zwalczał przyjęty przez Koło system postępowania. Głos jego jest w tym wypadku głosem długoletniego bolesnego doświadczenia, godnym przytoczenia ku przestrodze młodszych polityków i wyborców. Oto co pisze między innymi:

„Niejednokrotnie odzywały się głosy patryjotów przy wyborach, że rezultat ich pod względem składu Koła nie jest szczęśliwy — ale jakże ma wiedzieć społeczeństwo,czy ma poczynić pewne zmiany co do osób, jeżeli niema pojęcia o działalności poszczególnych posłów, jeżeli cała nasza informacja polega na ciepłej mówce wiecowej".

W braku autentycznych informacji tworzą się wiadomości, których prawdziwości stwierdzić nie można. „Twierdzą krytycy, że w Kole sejmowym od dłuższego czasu niema wogóle referatów co do ważnych przedłożeń rządowych, oraz uchwał co do stanowiska, jakie w nich przedstawiciel Koła ma zająć, tak samo wogóle niema zwyczaju referatów członków pracujących w komisjach, nawet tak ważnych jak budżetowa".

„Dalej twierdzą krytycy," iż od dłuższego czasu nasza praca w komisjach równa się zeru. Wybrani członkowie albo na posiedzeniach nie bywają, albo ich udział ogranicza się na siedzeniu i głosowaniu, że zatym, w tych warunkach lepiej osłonić tajemnicą „taką pracę Koła niż dawać oficjalne sprawozdania do prasy".

„Niech wobec tych głosów Koło nasze oceni, czy godność własna posłów nie cierpi na tym, że głosy takie się odzywają, że ogólnym zaczyna być twierdzenie, iż zasada tajemnicy osłania tylko zupełną niemoc Koła, niezdolność członków, brak sił do umiejętnej pracy poselskiej?"

„Lud ponosi wiele ofiar przy wyborach, z prawdziwym uznaniem zaznaczaliśmy rozliczne fakty poświęcenia i patryjotyzmu w okresie wyborczym, dlatego ma tym więcej prawo żądać, aby i Koło zrobiło swoje".

„Nie pojmujemy tych panów, którzy podejmują się obowiązku dla zaszczytu poselskiego, którzy otrzymują djety, aby je spokojnie konsumować na łonie rodziny w domu".

To było pisane kilka miesięcy temu, przed ostatnim bolesnym i upokarzającym odkryciem.

Nie wątpimy, że tenże sam *Goniec Wielkopolski*, a z nim i inne pisma poznańskie podniosą dziś okrzyk potężnego protestu przeciw niesumiennym synekurzystom z Koła berlińskiego i zażądają nieodwołalnie zdarcia zasłony tajemnicy i poddania się wybrańców ludu kontroli opinji publicznej. Aby z winnymi nie piętnować i niewinnych pospołu, należy kategorycznie zażądać nazwisk. Koleżeńska asekuracja wzajemna przed krytyką publiczną, czyli solidarność posłów, jest zgubnym błędem politycznym, dostatecznie wypróbowanym i zdyskredytowanym przez doświadczenie. W tym względzie zaś mamy obowiązek uczyć się doświadczeniem naszych braci Poznańczyków, my, co skorzystaliśmy z pierwszej sposobności, by jaknajwierniej odtworzyć na naszym gruncie to, co ich życie polityczne zabagnia — tradycje Koła polskiego.

I. M.

Projekt ustawy o ubezpieczeniach społecznych w Austrji.

Na porządek dzienny obrad parlamentu wiedeńskiego przyjdzie wkrótce projekt ustawy o ubezpieczeniach społecznych, wniesiony 8 listopada, ubiegłego roku. Austrja, która w swej polityce społecznej podąża śladami Niemiec zwykle z opóźnieniem paru lat dziesiątków, i tym razem korzystała z wzoru i doświadczeń niemieckich, które, jako jedyne, dla całej ubezpieczeniowej akcji miarodajnymi być muszą.

Projekt jest rezultatem długoletnich studjów i wywiadów, a potym zakulisowych narad ze stronnictwami, które mozolnie zjednywać dlań trzeba było i nosi też na sobie wiele cech kompromisowych, które pierwotny pomysł uzupełniały, a poniekąd wypaczały [1]). Pomimo to zapowiada reformę pierwszorzędnej

---

[1]) W dzisiejszej redakcji obszernego memorjału „Gesetzentwurf, betreffend die Socialversicherung". Ustawa rządowa z 3/XI 1908 r. Str. 338 wielkiej 8-o; brak historji projektu, co przypisać chyba należy niechęci odsłaniania przebiegu paktów.

doniosłości, której urzeczywistnienie będzie rzetelnym postępem w dotychczasowym ustawodawstwie. Reforma ta dopełni najdotkliwsze braki i złagodzi niepewność robotniczego bytu w tych wszystkich momentach, w których sam robotnik poradzić sobie nie może.

Ubezpieczenie austryjackie, ograniczające się dotąd do choroby i nieszczęśliwych wypadków, objąć ma całkowity system upaństwawianych dotychczas ubezpieczeń, a zatym oprócz dotychczasowych, pojawi się ubezpieczenie dla starców i inwalidów pracy. Ubezpieczenie na wypadek niezawinionego bezrobocia w żadnym kraju nie zostało dotąd przez państwo podjętym.

Wszystkie ubezpieczenia scentralizowanymi zostaną we wspólnym urzędzie państwowym, któremu odpowiadać będzie kasa centralna dla ubezpieczeń społecznych, jedno i drugie w Wiedniu. Jednakowymi dla wszystkich krajów Austrji będą zasady i normy ubezpieczeń i ich zarządu. Na świadczenia i renty ubezpieczeniowe składają się ubezpieczeni, zarobkodawcy i państwo.

Koło ubezpieczonych w każdym rodzaju ubezpieczeń będzie inne, a nowością w austryjackim projekcie jest wciągnięcie pracowników samoistnych, obok robotników, dopomagających członków rodziny, uczniów i służby domowej. Wspólnym dla tych wszystkich kategorji ubezpieczonych będzie obowiązek ubezpieczenia, granica lat 16 — 60, w których ubezpieczeni dopuszczani są do wkładek, oraz maximum dochodu 2,400 koron (960 rb.), powyżej którego ubezpieczać się można tylko dobrowolnie i nie korzystając z pomocy państwowej. Zarządy instytucji ubezpieczeniowych będą jak dotąd autonomiczne, złożone z przedstawicieli zarobkodawców i ubezpieczonych, oraz z urzędników i rzeczoznawców mianowanych przez państwo. Przymieszka samoistnych, którzy wielekroć będą również zarobkodawcami, da w biurach ubezpieczeniowych ostatnim przewagę nad robotnikami, przeciw czemu dziś już przygotowuje się ostra opozycja ze strony klubu socjaldemokratycznego w parlamencie. Za podtrzymaniem przewagi zarobkodawców, w tych zwłaszcza rodzajach, gdzie jak w ubezpieczeniu od nieszczęśliwych wypadków opłacają oni 100% wkładki, oświadczają się chrześcijańsko-socjalni. Pewne odłamy burżuazji np. właściciele kopalń obstają za odrębnymi instytucjami dla robotników, ażeby ich łatwiej mieć w ręku. Kolejarze, którzy aż dotąd z powodu niebezpieczeństw, towarzyszących ich zawodowi, pobierali bardzo wysokie renty w razie nieszczęśliwego wypadku, protestują przeciw włączeniu ich do ogólnych warunków ubezpieczenia.

Zjazd austryjackich kas chorych, który obradował przed 2 tygodniami, reprezentując 1,400,000 ubezpieczonych, zastrzegał się przeciw zmniejszeniu autonomji kas. Nawet rękodzielnicy krakowscy zajęli stanowisko wobec projektu i żądają krajowej autonomji ubezpieczenia. Rozpoczną się przeto o ustawę ostre walki, pojawią się tysiączne zabiegi aby jej przejście opóźnić, gdy socjalni demokraci reformę ubezpieczeniową postawili na pierwszym planie swoich dążności i walczą o nią od chwili, gdy reforma wyborcza została urzeczywistnioną. Istotnie, o ile w Niemczech system ubezpieczeń robotniczych oktrojowany został przez rząd jako odszkodowanie za ustawy wyjątkowe przeciw socjalistom, o tyle w Austrji reforma ubezpieczeń ziawia się jako ustępstwo dla demokracji społecznej. Potężny klub socjalistyczny austryjackiego parlamentu nie przedłożył jej wprawdzie, ale niewątpliwie postawa jego i liczba członków oddziałają na przyspieszenie obrad. Socjal-demokraci, wobec reakcyjnej większości parlamentu, łatwo znaleźć się mogą znów po stronie rządowej, tak samu jak w sprawie reformy wyborczej, lub niedawno z racji głosowania za nagłością budżetu, i znów doczekają się nazwy partji rządowej. Byłoby przecież pożądanym dla reformy ubezpieczeniowej, aby z rządowej stali się rządzącą.

Wobec tych blizkich zapasów i doniosłości sprawy, poświęcimy baczniejszą uwagę różnym rodzajom ubezpieczeń.

Podstawą wymiaru wkładek, oraz rent i zasiłków dla niesamodzielnych, jak powiada ustawa, a zatym robotników, będą następujące klasy płac zarobkowych.

	Zarobek (w koronach)		Renta lub emerytura w koron.
	Dzienny	Roczny	
I klasa	do 0,80 hal.	do 240	120
II "	0,80 — 1,60	240 — 480	150
III "	1,60 — 2,40	480 — 720	180
IV "	2,40 — 4,00	720 — 1200	210
V "	4,00 — 6,00	1200 — 1800	240
VI "	6,00 i wyż.	1800 — 2400	270

Samodzielni pracownicy podzieleni zostali na dwie klasy: tych, których dochód roczny przewyższa 480 koron, obowiązani do opłacania 1 kor. miesięcznie, oraz tych, którzy mają niższy dochód i płacą pół korony na miesiąc. Daje im to prawo do otrzymywania rocznej emerytury 150 koron, która, stosownie do liczby lat opłacanych i wysokości wkładek, może się podwyższać i dochodzi do 330 koron.

Wkładki robotników wahają się między 12 a 72 halerzami tygodniowo, zależnie od klasy płac i są takiej samej wysokości przy ubezpieczeniu na wypadek choroby, jak w opłatach ubezpieczenia dla starców i inwalidów pracy.

Ubezpieczenie *na wypadek choroby* ma już za sobą w Austrji doświadczenie lat 20, podczas których obowiązująca obecnie ustawa nakazywała robotnikom przemysłowym należenie do kas chorych.

W 1906 r. istniało 2,900 kas różnego rodzaju: okręgowych, korporacyjnych, stowarzyszeniowych i fabrycznych, z których korzystało 2.946,668 uczestników płci obojej. Ubezpieczeni otrzymują poradę lekarską, środki lecznicze, możność kuracji w szpitalach, o ile to jest potrzebnym, oraz zasiłki pieniężne przez czas niezdolności do pracy, obliczane według wysokości opłacanych wkładek. Kasy te, zwłaszcza większe, funkcjonują poprawnie, dzięki zarządom, złożonym w $^2/_3$ z przedstawicieli robotników, a w $^1/_3$ z przedstawicieli pracodawców i stanowią ważną placówkę dla socjaldemokracji, która w interesie robotników stara się obsadzić je swymi ludźmi. W Galicji samych kas okręgowych liczono w 1906 r. — 62, z liczbą 127,092 ubezpieczonych członków. Największą liczbę członków miały kasy miejskie we Lwowie i Krakowie, z których każda liczyła powyżej 10 tysięcy uczestników. Świadczenia są tu dość zadawalniające, oprócz bowiem kilku (8 —10) lekarzy stałych, robotnik zwracać się może do specjalistów w chorobach uszów, oczów, zębów, otrzymuje zasiłki na wyjazd letni i kurację w uzdrowiskach, o ile tego wymaga stan jego zdrowia.

Projekt nowej ustawy rozszerza koło ubezpieczonych na wszystkich robotników najemnych w przemyśle i rolnictwie, oraz uczniów i służących. Koło ubezpieczonych rozrośnie się przeto do 6,450,000 osób, licząc w tym pół miljona dopomagających w pracy członków rodziny. Do dawnych świadczeń, które pozostają w poprzednich rozmiarach, projekt dodaje prawo pobierania zasiłków przez cały rok, (dotąd przez 20 tygodni w roku), oraz zasiłki czterotygodniowe dla położnic, bez których ustawa o zwolnieniu z pracy w tym okresie, staje się jedynie przymusowym biedowaniem bez zarobku, czy dochodu, który mógłby go zastąpić. Zasiłki dla chorych, którzy pracować nie mogą z 60% zarobku podniesione będą do 90. Na koszta pogrzebu

udzielać będą kasy kwoty w stosunku do klasy zarobków, a najniżej 25 koron.

Reforma ubezpieczenia na wypadek choroby jest więc bezwarunkowo korzystną, jakkolwiek nie usunie jeszcze wszystkich powodów niezadowolenia, nie wprowadza bowiem swobodnego wyboru lekarzy, istniejącego już po miastach niemieckich i belgijskich.

(D. n.). *Dr. Z. Daszyńska Golińska.*

Wybuch klerykalizmu na Rusi.

Wychodzące w Kijowie pod redakcją ks. Stawińskiego, z udziałem biskupa Niedziałkowskiego, cztery wydawnictwa polskie — *Lud Boży*, *Słowo Boże* *Gazetka dla dzieci* i *Głos Katolicki*, z których *Lud Boży* liczy już trzeci rok istnienia, i swym powodzeniem finansowym sprowadził powstanie innych wymienionych wydawnictw — jest objawem o tyle ciekawym co zasmucającym. Tym żałobniejszy rzuca to cień, że wszelka inna publicystyka, już nie powiem postępowa, lecz wprost tylko świecka więdnie tu i upada. Upadł postępowy *Głos Kijowski*, upadł takiż *Świt*, upadła bezstronna *Praca Współczesna*, upadły nawet półklerykalne *Kresy* i *Nasza Przyszłość*, bokami robi lojalny *Dziennik Kijowski* — wtedy, gdy redakcja przy „kościelnej” ulicy rozwija się, technicznie ulepsza, powiększa swoje wydawnictwo, przyrzeka i przygotowuje premja—słowem,potęguje się i wzrasta. Bo, albo trzeba bezwzględnie trzymać z kościołem duszą i ciałem, albo wyrzec się wszelkich przedsięwzięć i zamiarów publicystycznych.

Czemu jednakże mamy przypisać ów rozwój niezmienny prasy „katolickiej” i w czym tkwi tego przyczyna? Przyczyna tylko jedna. Pominąwszy powszechnie znany pewnik zamożności księży, trzeba szczególniejszy nacisk położyć na wyrobioną w duchowieństwie katolickim niebywałą solidarność. Zaledwie się ukazał pierwszy numer *Głosu Katolickiego*, posypały się zewsząd *listy pasterskie*, błogosławieństwa, życzenia i t. p. A z jakim się to wszystko pisze zapałem, z jaką pewnością, że te gromy znajdą odgłos przychylny w kraju i z jakim namaszczeniem obliczonym na to, ażeby istotnie poprzeć nowe pismo wśród rzeszy wierzących. Niezależnie jednak od względów praktycznych, tak finansowych jak i dyscyplinarnych, zastanawia sam fakt tłumnego *zbiegowiska tych książąt kościoła*, z powodu zdarzenia tak stosunkowo marnego jak narodziny pisemka bezwarunkowo lichego, pospolitego, poświęconego kazuistyce zwietrzałej, zaprawionej tu i owdzie przestarzałym piżmem pikantności i galanterji dawnych „labusiów” francuskich z czasów Ludwika XVIII i Karola X.

Widocznie, że witając tak solennie i gremjalnie ukazanie się *Głosu Katolickiego*, episkopat polski szukał tylko lada jakiego pretekstu do zamanifestowania swych uczuć, przekonań i dezyderatów na przyszłość.

Jakież to są dezyderaty? Rzućmy okiem na epistoły naszych Pasterzy i Arcypasterzy: ks. Arcybiskup Teodorowicz ze Lwowa poprzestał tylko na *telegraficznym* przesłaniu swego błogosławieństwa pisemku. Ks. Arcybiskup Symon, uchodzący do niedawna za należącego do postępowej i liberalnej frakcji wyższego kleru polskiego, zaznacza także najzwięźlej, że już nikomu na zawadzie nie stoi, że jest starym i że „sierp swój zawiesił na kołku” i że przeto reakcja młoda i nowa, śmiało do żniwa zabrać się może. Żniwo to, według świeżo mianowanego na katedrę metropolitańską w Petersburgu — księdza Apolinarego Wnukowskiego, Arcybiskupa mochylowskiego, polegać ma jedynie „na wzbudzeniu ku kościołowi katolickiemu gorącej miłości...” naturalnie na Rusi, która dotąd nie jest jeszcze katolicką i którą prozelityzm nasz jezuicki z wieku XVI i początku XVII popchnął w objęcia carstwa Moskiewskiego. Wyrazistszym znacznie jest ks. Józef Pelczar, biskup przemyski; — wyrzuca on wprost warstwom naszym „wykształconym” (obywatelom ukraińskim),—że są w sprawach religijnych ciemni, przedewszystkim zaś „skorzy do uprzedzeń i *indyferentyzmu*”. Ks. Kazimierz Ruszkiewicz, biskup sufragen warszawski, również kładzie nacisk na potrzebę „nauczania t. zw. inteligiencji”, której zbywa na „uświadomieniu katolickim”. Ale to dopiero — preludja, właściwie programowym jest dopiero list pasterski ks. Stanisława Zdzitowieckiego, biskupa kujawsko-kaliskiego. Tu najwyraźniej wytknięta główna linja operacyjna nowego pisma: ma ono „bronić Kościoła, św. wiary i najszczytniejszych ideałów naszych od zarzutów i napaści wrogów”. Żeby zaś nie pozostawało wątpliwości najmniejszej, kto są ci wrogowie „ideałów najszczytniejszych”, ks. biskup Zdzitowiecki wyraźnie wskazuje palcem kogo najpierw brać na cel wypada: oto „prasę postępową”... „pseudo-postępową prasę dzisiejszej doby”.

Żeby zaś od tego stuknięcia pięścią w stół, nie odezwały się nożyczki niewłaściwe, — redakcja postarała się o imienne wskazówki *osób*, przeciwko którym zgromadziła się wszechapostolska wyprawa biskupów polskich.

Jeden z zakrystjanów *Głosu Katolickiego*—lepszy poeta niż prozaista, poeta zaś niesłychanie wątpliwy, wydzwonił tuż za biskupami na mszę poranną przedpochodową.

Idzie o prawa etyki, o prawa moralności w prasie... o moralność ogólną, powszechną, powszechnie uznawaną. Wobec hasła uznanego na całym świecie za nietykalne, pod jego osłoną i pancerzem można będzie bez ceremonji brać za kark najpierw mniejszych, później coraz grubszych „pseudo - postępowców” — zaczynając od „aferzystów, blagierów i krzykaczy warszawskich, jak się przed laty wyrazić miał Andrzej Niemojewski; — a więc, *Głos Katolicki* wymienia na czerwonej, afiszowej, jak tarcza do strzelania wyrazistej okładce swojego pisma: primo, samego tego A. Niemojewskiego, albowiem zaprzecza on „istnieniu Boga, usiłuje dowieść fałszywości opowiadania biblijnego, propaguje wolnomularstwo”, i jako „nieuk” jest „najprostszym oszczercą katolicyzmu”. Secundo, Ignacy Radliński, który „wyłącznie w swych pismach stara się wystawić bezpodstawowość wiary w objawienie Boże” — objawienie niewątpliwie na gruncie polskim i izraelskim. Dalej, Aleksandra Walewska, za autorstwo rodowodu Jezusa Chrystusa w 9 numerze *Kultury* z r. 1908; następnie Józef Wasercug, Leo Belmont i Wilhelm Feldman w czambuł ujęci — „żydowscy bluźniercy Chrystyanizmu”; wreszcie, spędzeni do drugiego rzędu czambułu: Wojciech Szukiewicz, Budzińska-Tylicka i Iza Moszczeńska — za *rozbój* moralny jakiego się ta trójka podjęła” wśród ogólnej „obojętności społeczeństwa na tak *ohydną* propagandę”... Dość na pierwsze danie: „dalszy ciąg nastąpi”, najformalniej zapowiada to *Głos Katolicki* w imię swej wydzwonionej „etyki dziennikarskiej”.

Zobaczymy. Czekamy spokojnie i nawet niecierpliwie tego dalszego ciągu, zaznaczając tylko na razie krótko i stanowczo, że ten nagły wybuch klerykalizmu na Rusi jest złowrogą dla polskości i dla samego katolicyzmu na Wschodzie europejskim, niebezpieczną awengardą... wstecznictwa klerykalizmu, wcale *nie katolickiego* z istoty swej i z pochodzenia. Bowiem „Armja wielka”, armja główna całego tego donkiszotyzmu reakcyjnego gromadzi się — w milczeniu chwilowym — zupełnie gdzieindziej. Tu nad Dnieprem rozesłała ona tylko swe „wicie”,swe orędzia wojenne... jeszcze w roku zeszłym w jesieni,współrzędnie ze zjazdem praskim, na soborze hierarchów prawosławnych w Kijowie... Wielka ta armja zrobi swoje niewątpli-

wie z czasem. Dziś chodziło tylko o zwalenie „dwuznacznych *pozorów* na kogo innego... I właśnie hierarchja katolicka w Polsce dała się złapać... w zastawioną na siebie pułapkę.

Kijów. *Tad. Mich.*

Tajny rząd we Francji w oświetleniu „Czasu".

Z okazji mego artykułu p. t. „Żywotność Bloku", (*Prawda* Nr 1), krakowski organ konserwatywny ukazuje swym czytelnikom wolnomularstwo francuskie przez pryzmat stosownie załamany. Leo Taxil czynił to w swoim czasie z wielkim powodzeniem, zmyliwszy nawet nieomylność papieską, ku sporej uciesze niedowiarków świata całego. *Czas* ma jedną wszelako przewagę nad słynnym mistyfikatorem, a mianowicie audytorjum zaścianka, odgrodzonego od świata tak szczelnie, że filtruje się doń tylko święcona przez Watykan woda.

* * *

„Wolnomularstwo francuskie — pisałem w miejscu wzmiankowanym — wywiera wpływ potężny na sytuację polityczną kraju, regulując, łagodząc niesnaski, wyjaśniając nieporozumienia, godząc nieprzejednane ambicje i urazy". — *Czas* (Nr 61 „Tajny rząd we Francji") chwyta skwapliwie moje słowa i wyprowadza z nich wnioski pośpieszne i zgoła bałamutne.

„W ten sposób — pisze organ krakowski — masonerja jest drugim rządem. Że zaś w państwie dwuch rządów być nie może, więc kwestja formułuje się tak, że wolnomularstwo stanowi rząd właściwy, parlament zaś jest wykonawcą jego postanowień. [1])" *Czas* myli się gruntownie. Kwestja formułuje się inaczej. Parlament jest wykonawcą postanowień większości, określonej przez *suffrage universel*. „Mechanizm wyborczy — insynuuje coprawda *Czas* — jest całkowicie w rękach rządu, tak że posłowie w swej większości są wybierani według życzenia lóż".

Zachodzi tu jednak widoczne nieporozumienie. *Czas* pomieszał Francję z Hiszpanją lub rodzimą Galicją, gdzie o masonach nie słychać, ale zato mechanizm wyborczy działa sprawnie w rękach arcykatolickich stronnictw rządzących...

Niebaczny na swe roztargnienie, wylicza *Czas* w dalszym ciągu siedm grzechów śmiertelnych demokracji, dochodząc do następującej konkluzji: „Wola ludu przy czteroprzymiotnikowym głosowaniu redukuje się niemal wyłącznie do głosu wolnomularstwa, które jest jedyną organizacją w chaosie niezorganizowanych (*sic!*) równych wyborów, organizacją potężną i tajną, właściwym rządem trzeciej republiki".

* * *

W zamęcie tych „niezorganizowanych" zdań, czytelnik, z pewnym coprawda natężeniem, dostrzega coś, co publicysta *Czasu* najwidoczniej ukryć pragnie, gdy, przeciwnie, znany *abbé J.* de Bonnefoy w książce o znamiennym nagłówku *Leçons de la défaite*, przyczyny przewagi masońskiej wskazuje lojalnie i szczerze. Ocenia on tymi słowy okrzyczaną działalność masonerji: „Jeśli Francja republikańska przełożyła ponad nakazy polityczne Rzymu, biskupów i wodzów konserwatywnych — dyrektywy Lóż, jeśli wyborcy, parlament i ministrowie skłaniali się z tą gotowością, o której tyle prawi legienda, przed wolą garści Masonów — to dzieje się to dlatego, że wyborcy, posłowie, ministrowie nie czuli się bynajmniej krzywdzonymi przez wpływy wolnomularskie, że te wpływy odziaływały w kierunku dodatnim dla dążeń demokracji spółczesnej. Sekret potęgi masońskiej — to sztuka jednania opinji, a ta sztuka dostępną jest przecież dla wszystkich, zarówno dla katolików, jak i dla ich nieprzyjaciół. Ale ci ostatni postępowali zgodnie z logiką dziejów, gdy tamci logikę tę usiłowali odwrócić. [2])" „I dlatego jeszcze Loże znajdują chętny posłuch, że realizują to, co tkwiło oddawna w obyczajach i umysłowości. Jak dalece działalność Lóż zgodną była niezmiennie z uczuciami i potrzebami demokracji francuskiej—dowodem to, że realizowała się normalnie i zmogła wszelkie zakusy reakcji. Czy to w dziedzinie praw szkolnych, czy też praw o kongregacjach i o rozdziale Państwa i Kościoła — większość wyborców śpieszyła zawsze uświęcić swoją aprobatą dzieło prawodawcze, którego Masonerja była inspiratorką lub kierowniczką". A oto cenne zwierzenia: „Próżno usiłowaliśmy wzbudzić wstręt do „tyranji" Lóż, próżno piętnowaliśmy bez końca w broszurach i z mównic wiecowych i z kazalnic ową propagandę, zabójczą dla myśli katolickiej i urządzeń Kościoła; wskóraliśmy tyle tylko, że robota masońska tym zupełniejszym i szybszym wieńczyła się powodzeniem. Lud słuchał chętnie trybunów antyklerykalnych, stroniąc z niechęcią od orędowników wiary. Silni poparciem ogółu, mogli Masoni skutecznie i bezpiecznie atakować „gospodarkę klechów", rzecz najbardziej we Francji niepopularną, przymierze kleru z wielką burżuazją i szlachtą, wglądanie Watykanu w sprawy kraju, który zazdrośnie strzeże swej niezależności, wreszcie nietolerancję teologiczną i praktyczną katolicyzmu, złe i bezsilne gromy *Syllabusów*, nienawiść Papieży do swobód nowoczesnych"...

* * *

Na tym mógłbym poprzestać. W sprawie „tajnego rządu we Francji" dystyngowany *Czas* zdradził dystyngowaną...ignorancję, mimo, że przemawia tonem wyroczni. By jednak rzucić snop światła na stosunki, tak błędnie u nas pojmowane, pozwolę sobie przytoczyć opinję autentycznego masona [3]). „Rzeczpospolita francuska — to zorganizowane masoństwo! — oto refren ulubiony *championów* Kościoła, którzy tymi słowy proklamują jego bankructwo. Istotnie, jak się to stało że szatan ze swymi 30 tu tysiącami czynnych Masonów wystawianych zazwyczaj, jako postacie odstręczające, ciemne i śmieszne — jakimże sposobem mógł on wyprzeć prawdziwego Boga, którego zastępy są nieskończenie liczniejsze i według nich, wyższe pod każdym względem? Jakim sposobem Masoni mogli zmóc tę przygniatającą potęgę, która dzierżąc wszystko w swoim ręku, zwalczała ich zaciekle w ciągu całego stulecia? Oto tajemnica, którą warto wyjaśnić. Nie wyjaśnia jej, jak się rzekło, motyw *ilościowy*. Wyjaśnia *jakość* i wywierana przez nią *sugiestja*... Cała nasza siła polega na *dobrej woli*, która każe nam wierzyć w Postęp i w możność przetworzenia społeczeństwa drogą wyłączenia zeń pierwiastków ujemnych. Czerpiąc z Lóż siłę i żywotność przekonań, zyskaliśmy zdolność *promieniowania zewnętrznego*, dzięki czemu mamy dostęp do wszystkich umysłów otwartych. Na-

[1]) „Przychodzi mu to tym łatwiej — dodaje autor — że olbrzymia większość parlamentu należy do Lóż Wielkiego Wschodu". Odpowiadam: w Izbie i Senacie z ogólnej liczby 900 przeszło posłów zaledwie 100 jest Masonów, co czyni 11%. Ogólna liczba Masonów we Francji wynosi 33000, co czyni 0,314% w stosunku do ludności. Ten ilościowo szczupły zastęp posiada duże zalety jakościowe i wskutek tego wpływa potężnie na bieg spraw ogólnych. „L'Acacia", Paris, Nr 63. Por. „Myśl Niepodległa" Nr 69 str. 1000.

[2]) Abbé J. de Bonnefoy. „Les leçons de la défaite". Paryż, Plon-Nourrit. 1908. Por. „Myśl Niepodl. Nr 78.

[3]) „L'Acacia" Nr. 67 (Revue mensuelle des études maçonniques. Paris) Por „Myśl Niepodl". Nr. 77, str. 1389.

daliśmy ton atmosferze duchowej, którą świat spółczesny oddycha; oto dlaczego nasz wpływ utwierdza się wszędzie, mimo, że ilościowo jesteśmy słabi...

* * *

Tyle co do „tajnego rządu we Francji". Pozostaje jedna uwaga pod adresem *Czasu*.

Rozumiem intymne przymierze, łączące organ krakowski z miejscowym konsystorzem, ale dalibóg, podejmując tę szarżę antymasońską z tak nieudolną perfidją — nasz *Times* stanął niżej własnego poziomu. Nie o to go winię, że zwalcza radykalizm społeczny i wolnomyślny — *à chacun son métier* — lecz o to, że trąci para fjalnym zaściankiem, co jak na organ „stołeczny" jest winą niemałą.

Leon Gorecki.

Szlachta na Ukrainie.

Pod powyższym tytułem pojawiło się wKijowie dziełko p. Wacława Lipinskiego, ukraińca piszącego po polsku, jedynie w tym celu, jak sam powiada, żeby rozpowszechnić swoje poglądy wśród naszego społeczeństwa.

Pan Lipiński na dziewięćdziesięciu stronicach usiłuje dowieść szlachcie polskiej zamieszkującej Podole, Wołyń i Ukrainę, że musi ona koniecznie się zrutenizować i wrócić na łono matki Ukrainy, które już tak dawno opuściła.

Dla poparcia swych wywodów autor odwołuje się do badań antropologicznych Talko-Hryncewicza i danych historycznych, które, nawiasem mówiąc, wybrane są dość niefortunnie. — Czy antropologja może nakłonić do tego, by ktoś uważający się za Polaka został Rusinem, o tym śmiemy wątpić.

Co się zaś tyczy danych historycznych, to ten sam prof. Hruszewski, na którego autor tak lubi się powoływać, pisze:[1]) „Narodowość ukraińska jest par excellence demokratyczną, warunki historyczne uczyniły z niej naród niezróżniczkowany, wyłącznie *demos* włościański. Wczesna, bo jeszcze w XIV wieku, utrata własnego życia państwowego i datująca się od tej chwili przynależność do innych mocarstw miała ten skutek, że Ukraińcy utracili swe wyższe i zamożniejsze klasy. Starsze kadry weszły w skład narodu polskiego, młodsze przyłączyły się do arystokracji wielkorosyjskiej. W rezultacie większa własność rolna przeszła w obce ręce; jej przedstawiciele z pochodzenia lub z przyjętej kultury i świadomości narodowej, stali się elementem obcym dla ludu ukraińskiego, nie tylko ekonomicznie ale kulturalnie i narodowościowo".

Wychodząc z tego założenia, przywódca ukraińców prof. Hruszewski jest zwolennikiem przymusowego wywłaszczenia i ze względów racjonalistycznych.—Pan Lipiński jednak, jako obszarnik wołyński, boi się tej perspektywy i dlatego nawołuje swą brać polską (dlaczego nie rosyjską?) do ukrainizowania się, bo przypuszcza, że tą drogą zdoła szlachta utrzymać nadal swe wpływy nad wyzwalającym się ludem i zająć dominujące stanowisko w przyszłym sejmie Kijowskim.— My zaś postępowcy polscy, możemy tylko współdziałać z dążeniami autonomistów ukraińskich, ale wybujały szlachecko-ukraiński szowinizm pana Lipińskiego stanowczo potępiamy. — Pan Lipiński jest świadkiem jak szlachcie usuwa się coraz bardziej grunt z pod nóg i chce temu zapobiec, chce ją przystosować do ludu, żeby przynajmniej złagodzić nieco jaskrawe kontrasty, a wynalazł on dziwaczną receptę Zaleca szlachcicowi na Ukrainie, który już w dziesiątym pokoleniu jest Polakiem, ażeby stał się Rusinem — to niemal to samo, co gdybyśmy z pruskich junkrów robili Słowian dlatego, że dane antropologiczne i historyczne uczą nas, że pochodzą oni ze szczepów słowiańskich, tak jak szlachta ukraińska *poczęści* wyprowadza swój rodowód z miejscowej ludności.

Rzeczywiście pomysł pana Lipińskiego ma dużo oryginalności i jest starannie opracowany, ale też nie dziwimy się, że autor nie mógł znaleźć nakładcy na swe „pomnikowe" dzieło.

A. Rosz.

[1]) „Strana" 1906 r N. 1?4

NA DOBIE.

Konkurs na balustradę i słupy latarnieze na trzeeim moście.

Przed paru dniami, cichutko, bez żadnego hałasu i krzyku, odbyło się rozstrzygnięcie konkursu na słupy latarnicze i balustradę, mające zdobić nowo budujący się trzeci most warszawski. Następnie przez trzy dni trwała wystawa wszystkich nadesłanych projektów, wystawa, której nikt nie zwiedzał prócz niewielu zainteresowanych, tak bowiem było to wszystko cichutko, en famille, urządzone i załatwione. A szkoda, gdyż publiczność nasza powinna była zainteresować się ową wystawą, a prasa—prace te poddać odpowiedniej krytyce.

Z pomiędzy nadesłanych na konkurs ten dwudziestujeden prac, nagrodzono siedem projektów, czyli trzecią część—szafowano więc hojnie pieniędzmi publicznymi.

Musiały to być prace znakomite, a cały konkurs musiał być wspaniałym, skoro taki obfity deszcz nagród spadł na szczęśliwych projektodawców?

Otóż nie, nie i nie. Konkurs jako całość był nędzny, a wszystkie bez wyjątku prace pozbawione były wartości, gdyż ani jedna z nich nie posiadała w sobie jakiejkolwiek oryginalności, świeżości, czegoś nowego, świadczącego o poszukiwaniu dróg i form wychodzących poza zwykły szablon, lecz przeciwnie, nagromadzenie form utartych, przestarzałych, dawno przeżytych, nie odczutych, lecz bezceremonialnie czerpanych ze starych podręczników i wydawnictw architektonicznych.

Przeważającą formą owych słupów latarniczych był cmentarny obelisk, taki, jakich setki widzimy na Powązkach, albo cmentarna kolumna z ozdobami pseudo-klasycznymi lub w stylu empire. Gdy zaś zamiast kamienia użył projektodawca żelaza, to wykonał zwyczajną kolejową semaforę, która jak tyka sterczy na silnym filarze mostu, bez żadnego organicznego z nim związania. Na ogół żaden prawie z owych słupów latarniczych, czy to obelisk, czy kolumna, nie łączy się organicznie ze swoją podstawą, z filarem mostowym.

Balustrady, z których kilka było dość niezłych w pomyśle, nie łączą się także z owymi obeliskami i stanowią dla siebie całość oderwaną. Motywy ich ornamentacji konstrukcyjnych są inne aniżeli na słupach latarniczych, co wskazuje na czerpanie motywów balustradowych z odmiennych źródeł.

Żaden z projektodawców i żaden z sędziów tego konkursu nie pomyśleli o tym, że most ów trzeci jest organicznym ciągiem, a poniekąd i zakończeniem wiaduktu, mającego być przeprowadzonym przez Aleje Jerozolimskie, a co zatym idzie, że słupy latarnicze

i balustrada mostu powinny w charakterze harmonizować z motywami samego wiaduktu. Wiadukt więc i most nie będą stanowić jednolicie pomyślanej całości, i już przez to samo tylko wartość ich estetyczna będzie niewielka.

Okropną jest architektura warszawska i nic w tym dziwnego, wszak panowie radcowie (takie *przezwisko* dają naszym budowniczym) traktują swoje zajęcie nie jako sztukę, której się poświęcić należy, ale jako rzemiosło, które bez wielkiego łamania głowy i kłopotu ładne zyski do kieszeni przynosi. Po cóż więc silić się na jakąś oryginalność, dróg szukać nowych, kiedy można wygodnie *tworzyć* czerpiąc bez skrupułu z przeróżnych, specjalnie w tym celu komponowanych dzieł francuskich lub niemieckich. Za takimi wytrawnymi radcami, idą ich śladem młodzi adepci budownictwa, zazwyczaj pracujący w biurach panów radców, pod ich kierunkiem wykonywujący wszelkie projekty, nawet konkursowe i otrzymujących z rąk tychże radców-sędziów — tak wielce zasłużone nagrody! Tym się tłumaczy szablonowość wszystkich projektów.

Żeby pomiędzy tymi dwudziestu i jeden projektami znalazł się jakikolwiek śmielszy, któryby pomyślał wprowadzić jako słup latarniczy figurę ludzką, obmyślaną dekoracyjnie, szeroko, jako część filara mostowego, a więc zupełnie architektonicznie; gdyby choć jeden mając na myśli żelazo, śmiało i energicznie wyprowadził z filara mostowego konstrukcję żelazną latarni; gdyby choć jeden jaki projekt znalazł się pojęty i wykonany najnaiwniej, po dziecinnemu nawet, ale ukazujący jakąś samodzielność, coś, coby nie trąciło bezdarnym, przestarzałym szablonem, konkurs ten dałby przynajmniej nadzieję, że jednak w tym państwie duńskim naszej architektury nie wszystko jest popsute, że jest tam bądź co bądź iskierka, która może z czasem rozniecić by się dała w płomień silny i piękny

Ale niestety, konkurs ten pokazał nam tylko *ładnie* rysowane szablony, które za tę *ładność* rysunku zostały nagrodzone.

Wychodząc z tego, iż wszystkie prawie projekty są w formie kolumny cmentarnej lub obeliska obmyślane, i że projekt odznaczony pierwszą nagrodą również jest obeliskiem grobowcowym, uznaję za stosowne, aby na nim taki położono napis: „Tutaj spoczywają pogrzebane: oryginalność, piękno i pieniądze kontrybuentów warszawskich".

Wincenty Trojanowski.

BADANIA NAUKOWE.

Fryderyk Nietzsche: **Ecce homo. Jak się staje—kim się jest.** Przełożył Leopold Staff. Nakład J. Mortkowicza.

Dziwna książka. Pod względem filozoficznym mniej ciekawa, gdyż wszystko to już Nietzsche powiedział dawniej. Ale zajmująca pod względem biograficznym. Odkrywa karty duszy gienjalnego człowieka, niszczonego przez paranoję. Już same tytuły rozdziałów mówią wiele: „Dlaczego jestem tak mądry?" „Dlaczego jestem tak rozumny?" „Dlaczego tak dobre piszę książki?" „Dlaczego jestem przeznaczeniem?" A cóż dopiero wyznania autora, jego zachwyt nad sobą samym, jako nad najpierwszym gienjuszem ludzkości!

„Uczyniłem, powiada on, w Zaratustrze największy dar ludzkości, jaki jej dotąd uczyniono. Księga ta, głosem sięgająca przez tysiąclecia, jest nietylko najwyższą księgą, jaka istnieje, właściwą księgą o powietrzu wyżyn — cały fakt, jakim jest człowiek, leży w dali niezmiernej *pod nią*, — jest też ona *najgłębszą*, z najwnętrzniejszego bogactwa prawdy urodzoną, studnią niewyczerpaną, w którą żadne nie zanurza się wiadro, by nie wybrnąć złota i dobroci pełne". i t. d. „Moje pojęcie „djonizyjskości" stało się tu *najwyższym czynem*; w porównaniu z nim cała reszta ludzkiej działalności wydaje się ubogą i warunkową. Że taki Goethe, lub Szekspir ani przez chwilę nie umiałby oddychać wśród tej niezmiernej namiętności i wyżyny, że Dante, wobec Zaratustry, jest wyznawcą, a nie kimś, kto prawdę *tworzy*, duchem *rządzącym światem*, przeznaczeniem,—że poeci Wedy to kapłani, i nawet niegodni rozwiązać rzemyka u obuwia Zaratustry, to rzecz najmniejsza, i nie daje zgoła pojęcia o odległości, o *lazurowej* samotności w jakiej dzieło to żyje. Zaratustra ma wieczyste prawo mówić" i t. d. „Niema zgoła mądrości, badania dusz, sztuki przed Zaratustrą". „Sentencja drżąca namiętnością; wymowa, co się muzyką stała; błyskawice ciskam w nieodgadnione dotąd przyszłości. Najpotężniejsza zdolność przenośni, jaka dotąd istniała, jest ubóstwem i igraszką wobec tego powrotu mowy do natury obrazowości". W innym miejscu mówi, że łkania zachwytu ściskają mu gardło, kiedy myśli o Zaratustrze. Podobnie stoi sprawa i z innymi jego dziełami. Wszystkie go zachwycają, — każde z innego powodu. Powiada, że na nim załamał się rozwój ludzkości. Dotąd szła ona drogą wskazywaną przez moralistów, — odtąd stanie się immoralną. „Przytym wszystkim, powiada, jestem z konieczności człowiekiem złowieszczym. Gdy bowiem prawda zetrze się z kłamstwem tysiącoleci, nastąpią przewroty, zatrzęsie się ziemia, przeniosą się góry i doliny, że nawet o czymś podobnym nie śniono. Pojęcie polityki rozpłynie się wówczas całkiem w wojnie duchów; wszystkie potężne twory starej społeczności wysadzone zostaną w powietrze — wszystkie spoczywają na kłamstwie. Nastaną wojny, jakich jeszcze nie było na ziemi. Dopiero ode mnie poczyna się na ziemi *wielka polityka*".

Tu nie można już się pomylić: jeszcze chwila i usłyszymy bezsensowny bełkot paranoika.

Ale wielkość wielką jest nawet w upadku. Cudny styl, (źle oddany w przekładzie, pomimo całego jego wykwintu i staranności),obrazowość nie nasza europejska, ale przybłąkana z oddali, bodaj że ze starej poezji perskiej, ta brylantowość języka, którą się on chwali, — wszystko to trwa jeszcze. Ten duch jest jeszcze zawsze niesłychanie podniosły, jeszcze może on odzywać się w te słowa.

„Spoglądam wzwyż —
tam morza się toczą świetlane:
— o nocy, ciszo, jak śmierć głuchy zgiełku!...
Widzę znak —
z najdalszych dali,
wieniec gwiazd skrzących zwolna spływa ku mnie...

. . . .

Najwyższa gwiazdo bytu!
Wieczystych rzeźb tablico!
Ty schodzisz ku mnie? —
Czego nie widział nikt,
Twa krasa niema,
Jakto? nie pierzcha przed spojrzeniem mym?

. . . .

Tarczo konieczności!
Najwyższa gwiazdo bytu!
— której życzenie nie dosięga żadne,
i żadne „nie" nie kala,
wieczyste „tak" bytu, —
jam wiecznie jest twym „tak":
bowiem cię kocham, o wieczności!"

Ecce homo, oto człowiek! to znaczy Nietzsche sam, człowiek, jakiego jeszcze nie było, właściwie nadczłowiek, „przez wdzięczność swemu życiu" opowiada on sobie życie swoje. Był dekadentem i wyzdrowiał, zna więc życie i chorobę. Udał się jako człowiek, bo przestał być pesymistą. Ma więc podwójne oblicze, ale ma jeszcze i oblicze trzecie — jest Europejczykiem, a nie Niemcem. Wogóle nienawidzi on Niemców, ale nienawidzi tak, jak można tylko niecierpieć ludzi blizkich. Co za naród! głupio wzniosły — idealistyczny, dobroduszny, nie znający się na różnicach duchów. Zepsuli oni Europę, zwaliwszy przez niemądre wojny o swobodę Napoleona, jedynego człowieka, któryby nadał sens istnienia Europie! Nie mają żadnej dostojności, ani smaku. Jeden Wagner stanowił wyjątek; Nietzsche sam też. Zawdzięcza to swemu nawpół polskiemu pochodzeniu Niemcy mają złą kuchnię, złe trawienie, — stąd ich „niemiecki duch". Niemcy to kraj „płaskości europejskiej". Wagner zginął przez to, że z Europejczyka stał się Niemcem. Wogóle niema złośliwości, którejby Nietzsche nie przystosował do swych rodaków. Stara się im dokuczyć, poniżając ich na rzecz Polaków, Żydów, Francuzów. Kanta mają oni za głębokiego? Co za ironja losu! Hegla? Schleiermachera? Wszyscy oni są „Schleier — macher" i nic więcej. Natomiast Francuzi byli i są dziś jeszcze dobrym towarzystwem. Wśród tych umysłów wykwintnych i dostojnych ze zdumieniem spotykamy imiona Pawła Bourget'a, Gyp'a etc. Zaiste, Bourget contra Kant i Leibnitz! Małoby kto się na to zastawienie odważył!

Najciekawsze ze wszystkiego są dzieje powstania każdej z książek Nietzschego, a najpiękniejszym może w całym dziele jest ustęp o natchnieniu. Przytoczymy go na zakończenie:

„Maż kto z końcem dziewiętnastego stulecia, dokładne pojęcie o tym, co poeci silnych stuleci zwali natchnieniem? Jeśli nie, to opiszę. Ktoby posiadał choć ślad przesądu, nie umiałby się obronić wyobrażeniu, że jest tylko wcieleniem, tylko narzędziem, tylko *medium* potęg przemożnych Pojęcie objawienia, — w tym znaczeniu, że coś nagle z niewysłowioną pewnością i dokładnością, *widzialnym*, słyszalnym się staje, coś, co człowieka do głębi wzburza i wstrząsa,— określa poprostu stan rzeczy. Słyszy się, nie słuchając, bierze się, nie pytając, kto daje; myśl wystrzela jak błyskawica, z koniecznością, w formie bez wahania, — nie miałem nigdy wyboru. Zachwyt, którego napięcie wyzwalało się nieraz w strumieniu łez, — w którym krok poniewolnie już to jak burza gna, już to powolnym się staje; zupełna nieprzytomność przy ścisłej świadomości subtelnych drżeń i dreszczów, aż do kończyn stóp; głębia szczęścia, w którym to, co najboleśniejsze i najposępniejsze, nie działa jako przeciwieństwo, lecz jako coś uwarunkowanego, wywołanego, jako konieczna barwa wśród takiego nadmiaru światła; instynkt stosunków rytmicznych, przesklepiający dalekie przestrzenie form, — długość, potrzeba dalekonośnego rytmu jest nieledwo miarą potęgi natchnienia, rodzajem wyrównania względem ucisku i napięcia... Wszystko dzieje się w najwyższym stopniu poniewolnie, lecz jakby w wichurze uczucia wolności, bezwarunkowości, mocy, boskości... Poniewolność obrazu, przenośni, jest rzeczą najprzedziwniejszą; nie ma się już zgoła pojęcia, co jest obrazem, co przenośnią, wszystko jawi się, jako wyraz najbliższy, najwłaściwszy, najprostszy. Zdaje się naprawdę, by przypomnieć słowa Zaratustry, jak gdyby rzeczy podchodziły same i narzucały się przenośni (— „tu rzeczy wszystkie podchodzą pieściwie ku mowie twojej i schlebiają ci, gdyż chcą na grzbiecie podjeżdżać twoim. Na każdej przenośni ku nowej prawdzie podjeżdżasz. Tuć otwierają się wszelkiego bytu słowa i skrzynie słów; byt wszelki stać chce się tu słowem, wszelkie stawanie się pragnie nauczyć się mówić od ciebie —"). Oto moje doświadczenie natchnienia; nie wątpię, że o tysiące lat cofnąć się trzeba, by znaleźć kogoś, coby rzec mi śmiał: „jest też i moim". „Ma tu on oczywiście na myśli Platona.

Dr. J. Kodisowa.

LITERATURA i SZTUKA

Konkursy dramatyczne.

Wszelkie konkursy dramatyczne w Polsce przedstawiały do tej pory wartość mocno problematyczną. Gdybyśmy zupełnie dokładnie uprzytomnili sobie wszystkie utwory nagrodzone, to przekonalibyśmy się, że w większej części nie posiadały one żadnych zalet artystycznych wyższego rzędu. W szeregu wypadków nagradzano to, co zgadzało się z jakimiś ubocznymi upodobaniami sędziów konkursowych, czasami nawet oznaczano już z góry komu przypadnie nagroda, czasami okazywało się, że niema wogóle nic i niema wogóle nikogo. Te smutne rezultaty możnaby złożyć na karb ogólnej apatji twórczej, możnaby powiedzieć, że trudno nagradzać arcydzieła, skoro ich niema.

Tak, wiemy to wszyscy i powtarzamy to sobie częściej po cichu jak głośno. Nasi najmłodsi laureaci nie zdołali wyjść nigdy poza ramy zwykłego wyrobnictwa teatralnego — ich sztuki grane z powodzeniem mniejszym lub większym, nie przyniosły ze sobą żadnych samodzielnych zdobyczy. Są one refleksjami przeczytanych książek, mizernymi obserwacjami drobniutkich i małoznacznych fakcików. I znów zdaje się, jakbyśmy oczekiwali na to, co powie i narzuci nam zagranica, bo sami nic jej prawie ofiarować nie możemy.

Czyżby więc konkursy dramatyczne usiłowały przeciwdziałać takiemu stanowi rzeczy, czyżby miały zamiar wydobyć z zapomnienia talenty prawdziwie twórcze, nikomu nie znane, niezdolne przełamać trudności, na jakie natrafia każdy młody początkujący autor?

Przy dzisiejszej bowiem nadprodukcji literackiej, autor niezwykle uzdolniony musi posiadać ku temu zalety i warunki specjalne, które nie stoją w żadnym właściwym związku z jego indywidualnością artystyczną. Nie zapominajmy o tym, że trzeba nieraz niezwykłego sprytu, żelaznej energji, a czasem nawet dużo cynizmu życiowego, aby się swobodnie poruszać na morzu intryg geszefciarko-artystycznych. Tylko we wstępnych artykułach pism codziennych pisze się z patosem, że szukamy i pożądamy ożywionych kierunków, nowych, młodych ludzi. Gdyby jednak w rzeczywistości pojawili się ci wymarzeni, zarozumiała niechęć i zazdrosny stan posiadania wypowiedziałby im wojnę pełną zdradzieckich zasadzek, drobnych słabostek i marnych podejść. Trudno tedy wierzyć w zbytnią szczerość w tych czasach, kiedy w całej niemal prasie codziennej i perjodycznej rozlega się przyjacielskie klepanie po ramieniu, kiedy krytyka negatywna stała się prawie załatwieniem osobistych niechęci i złośliwych „widzi mi się". Trudno uwierzyć w idejowość, z pod której wygląda najczęściej tylko prywata.

Czy więc konkursy dramatyczne potrafią w istocie otworzyć tę pewną, szeroką drogę dla twórczości artystystycznej. Czy potrafią one wejść w nieliczne i nadwątlone szeregi tych instytucji, gdzie nie istnieje żadna protekcja, żadne mecenasostwo, gdzie wartościuje się bez żadnych uprzedzeń, z możliwą bystrością i wniknięciem?

W każdym razie konkursy dramatyczne poza tym jeszcze są do pewnego stopnia pożądane. Nie można ich uważać wprawdzie za podnietę i negatywę dla naszej twórczości, (bo cóż wart ten artysta, który jak żak szkolny pisze na temat zadany i dlatego, że mu go zadano?) posiadają konkursy dramatyczne jedną niewątpliwą i może jedyną wartość: oto są one pomocą materjalną dla najbardziej wyzyskiwanych. Nie należy jednak zapominać o jednym — t. j. że w tym wypadku od szlachetnej ideologji tylko krok jeden do nieświadomej demoralizacji, do skrzywienia i wypaczenia istotnych usiłowań twórczych. A dzieje się to wtedy, kiedy ogłaszający konkurs czynią ograniczenia, narzucając swoje upodobanie, swoje teoryjki estetyczne. I gdybyśmy nawet przypuścili, że w wielu, bardzo wielu wypadkach istnieć będzie zupełna zgodność pomiędzy warunkami konkursu a dążeniami tych, którzy usiłują zdobyć nagrodę — nie wolno nam jednak zapominać o możliwych wyjątkach. Konkurs dramatyczny w szczególności ma rację bytu tylko wtedy, jeśli otwiera jak najszersze, niczym nie ograniczone pole dla twórczości, jeśli pozostawia swobodę wszelakim pomysłom twórczym, jeśli ich niczym nie krępuje, jeśli nie żąda nic więcej oprócz talentu. W przeciwnym bowiem razie wikła się i komplikuje stosunek wzajemny.

Pomyślmy tylko, ilu to artystom zdolnym może i samodzielnym zalśni nieraz jako ostatnia deska ratunku — konkurs. Na poddaszach, gdzie żyją zazwyczaj początkujący dramaturgowie, zrzadka pojawiają się zjawiska tak świetne i pociągające. Być może, że umysł ich żył obecnie w ogniu najbardziej oryginalnych pomysłów, być może, iż przejmowały ich dreszczem rozkoszy usiłowania uporczywe i przekorne, ale rozkoszne nadzieje wiodą za rękę ludzi słabej woli, deprawują ich dusze i popychają na drogę kompromisu, dostosowania się do warunków i rezygnacji z własnych dążeń.

* * *

Niedawno ogłoszony przez redakcję *Kurjera Warszawskiego* konkurs im. Słowackiego, jako pierwszy warunek stawia: „Ubiegające się o nagrodę utwory dramatyczne, napisane prozą lub wierszem, winny posiadać obok sceniczności znamiona *głębszej poezji*". W tych dwuch ostatnich słowach niewinnych na pozór i przyjętych zapewne przez ogół bez zbytnich zastrzeżeń, tkwi w istocie ograniczenie większe, niżby się to na pozór zdawało. Już to samo, że w stosunku do pojęcia tak zwanej „głębszej poezji" zmuszeni jesteśmy operować domyślnikami, wystarcza najzupełniej, aby stwierdzić to ograniczenie. Bądźmy tedy szczerzy i powiedzmy otwarcie: „Nie wiemy co to jest głębsza poezja".

Zbyt dużo błąka się dzisiaj w łonie nieuchwytnych i nieobliczalnych teoryjek estetycznych, aby można było rzucać tak zagadkowymi pojęciami. Zbyt zaś mało u nas światopoglądów krytycznych, aby autor godzący się nawet z góry na przystosowanie i kompromis, mógł zorjentować się, jak pogodzić aspiracje swoje z tym pierwszym punktem konkursu im. Słowackiego.

Owa „głębsza poezja" złączona z imieniem Słowackiego, któremu tak powszechnie insynuuje się dzisiaj modernizm, wyraża zdaje mi się, tendencje rozpaczliwego jakiegoś obowiązku. Przecież ten konkurs dramatyczny, urządzony przez redakcję popularnego dziennika, to tylko jeden punkt programu całego święta. Wtłoczony między wiersze okolicznościowe, wyrosły na tle banalnych zachwytów i mów programowych, nosi niestety charakter tych uroczystości jubileuszowych, które nie zdołały nigdy stanąć na równi ze swoim zadaniem. Ta „głębsza poezja", to typowy objaw jubileuszowy.

Zapewne trudno będzie, zdaniem sędziów konkursowych, czcić imię Słowackiego poezją, która dotyka spraw drażliwych i chodzi pod rękę z brutalnym życiem. Należy się wznieść wysoko ponad rzeczywistość, porzucić ją i opuścić jako rzecz zbędną i nieprzyzwoitą, należy tworzyć piękne kłamstwa i wytworne rebusy, które nie przeszkadzają nikomu, a sprawę tej najgłębszej z głębokich poezji to przecież najwygodniej złożyć w ręce maszynisty teatralnego. I czyż w owym wypadku nie okażą się znów tak bardzo użytecznymi paradoksalne teorje, czerpane z rozpraw Wilde'a, artykułów Miriama i studjów Przybyszewskiego?

Czyż wobec tego ta głęboka poezja byłaby tak bardzo trudną do poznania, skoro znamy nietylko jej miejsce zamieszkania, ale nawet umeblowanie jej apartamentów? Brakuje nam tylko jednej małej, maleńkiej odpowiedzi na pytanie, czym ona jest w istocie.

I być może, że dla ludzi, którzy wbrew ogólnym miarom estetycznym, mimo wszelkich zarzutów przestarzałości, śmią twierdzić, że sztuka jest między innymi także dążeniem do prawdy i poznania za pomocą środków artystycznych—tak zwana „głęboka poezja" wyda się zupełnie czymś innym, niż tym, którzy owymi dwoma słowami określili pojęcie, które zbyt dowolnie można tłumaczyć.

O ile bowiem realizm nie jest jednoznaczny z opisem rynsztoków i życia prostytutek, o tyle poezja nie jest uwarunkowaną cyzelatorstwem słownym, sztucznym patosem i wykwintnym kostjumem. Poezją jest sama treść jedynie i sama myśl; one są jej wartościami istotnymi. I dlatego najgłębsza nawet poezja musi być prawdą, a skoro traci swój związek z rzeczywistością, staje się czczym, bezwartościowym wymysłem, konglomeratem słów bez żadnego znaczenia Piękna forma i piękny styl są jej ozdobą, może nawet warunkiem koniecznym, aby ją lepiej i dokładniej wyrazić — ale nie są jej istotą; jej istotą jest poetyczna głębia prawdy. Umysł artysty stwarza ją w niezwykłych napięciach uczuciowych, w stanach podniecenia z najwyższym udziałem wyobraźni i z najwyższym poczuciem rzeczywistości.

Dzisiaj jednak inne są miary „głębokiej poezji" i inne jej piętna. Kazano jej się lękać życia i zerwać z nim, przybrano samozwańca w kostjum banalnej metafizyki i ogłoszono go panem, forma zastąpiła treść, kłamstwo prawdę, fałszywe teorje przepchnęły twórcze wyniki na drogę obłudy i oszustwa. I może wreszcie kiedy zastanowimy się poważnie nad tym pierwszym punktem konkursu im. Słowackiego, zrozumiemy, jak bardzo daleko odbiegły popularne kanony krytyczne od życia istotnego i twórczego, jak mało zdołamy pomieścić w tych wątłych ramach. Nasze orjentacje estetyczne w gruncie rzeczy są jedynie powtarzaniem tego, co przed kilku już laty powtarzaliśmy także za kim innym. I wiecznie intryguje ktoś swobodnie i bezkarnie pod tą maską „głębokiej poezji". Do wyjątków należy każdy, kto zdołał z hałasu tandetnych efekciarzy uratować zasadnicze i wspólne wszystkim wiekom dążenia w sztuce. I dlatego te niedobitki przynajmniej muszą pełni niedowierzania analizować każde rzucone słowo, każde pojęcie. Nie wolno nam opierać się na nowych przeczuciach i domysłach.

Stanisław Dzikowski.

Maurycy Bohrer — **Z głębi**. Nowele. Nakładem księgarni A. Standacher i S-ka. Stanisławów 1909 r.

Rozumowany katalog księgarni A. Standachera i S-ki jest bardzo drogi, bo kosztuje aż 75 kop: taką jest cena książki p. Bohrera wydanej wraz z katalogiem, liczącym 32 stronice druku; a zamieszczenie siedmiu nowelek autora na początku książki, to miało prawdopobobnie na celu, żeby czytelnik musiał sobie zadać pytanie: może przynajmniej coś ciekawego znajdę w katalogu? Pomysł bardzo dowcipny i w skutkach niezawodny, — bo kto kupił tę książkę i przeczytał pierwszą nowelę p. t. „Z głębi" — o tym, jak pełnemu życia młodzieńcowi nagle „stało się jasnym (!)", że „w najbliższych dniach odbierze sobie życie"; drugą p. t. „Nawet matką" — o tym, jak żona pijaka *chce* się utopić; trzecią p. t. „Czyn" o jakimś wielkim człowieku idei, który ma spełnić znowu jakiś wielki czyn, a płacze na dźwięk słowa „tatuś" wybełkotanego przez jego synka; czwartą nowelę p. t. „Finale" o życiu młodej żony suchotnika, która „służy wiernie tym gnijącym resztkom reakcji życia"; piątą p. t. „A las jęczy i grozi", w której wszystkie zdania rozpoczynają się od litery „a" albo „i", co w końcu przeraźliwie nuży i mdli czytelnika; szóstą p. t. „Sonata żałobna" znowu o suchotniku, który tym razem zabija młodą swoją żonę, bo „w znękany mózg wgryzła mu się i roztańczyła w każdym nerwie" myśl o tym, „iż ona tu się ostać musi młoda i czarowna" po jego śmierci; siódmą nowelą p. t. „Burleska" o uczciwej aktorce pragnącej być zawsze „wonną i piękną", a potym oddającej się jakiemuś jegomościowi, który jej *wytłumaczył*, że byłoby to „lekkomyślnością karygodną, gdyby czarodziejską a twórczą obdarzone siłą jestestwo jej nie stało się przyczyną dziwnej szczęśliwości, jaką dać może" (och!); i wreszcie ostatnią nowelę p. t. „Księżycowa skała" o dwuch parach: jednej, która po dłuższej a niezmiernie nudnej rozmowie „spływa w uścisku",—i drugiej (dziewczyna wiejska w dzień przed ślubem i jej kochanek Maciuś), która „pói się rozkoszą swych namiętności"; — kto, powiadam, przeczyta wszystkie te nowele, ten z zapałem zabierze się do studjowania rozumowanego katalogu wydawnictw własnych i komisowych księgarni A. Standachera i S-ki, pozna streszczenie kilkunastu książek większej i mniejszej wartości i... pocieszy się w ten sposób, że jego pięć złotych nie zostały wyrzucone na bruk.

Jan Barczyński.

Z teatru.

Gdy w Łodzi otwiera się sezon teatralny „Weselem" Wyspiańskiego, a „Kordjan", „Irydion" i „Dziady" stanowią jego punkt kulminacyjny, w Warszawie jedna tylko „*Lilla Weneda*" dostąpiła dotąd zaszczytu figurowania na afiszu i to jako przedstawienie popularne, przeznaczone głównie dla młodzieży i została potraktowana w odpowiedni sposób, to jest chłodno, aby zbyć, bez cienia pietyzmu. Co prawda zespół naszych artystów nie nadaje się zupełnie do tego rodzaju popisów i za wyjątkiem jednej tylko p. Tekli Trapszo, która na scenie tutejszej nie straciła jeszcze nabytych w poważnej szkole krakowskiej tradycji, nie posiada on odpowiednich sił do stworzenia klasycznego repertuaru. Główne role z wieku i z urzędu dostają się w ręce jubilatek, więc p. Ludowa dokłada wszelkich starań, by swym ruchom i pozom nadać wdzięk i giętkość, nawet pod miękką grecką szatą Elpiniki, w twardy się pancerz zakuwa z fiszbinów, a p. Marcello, im więcej chce wyrazić tragizmu, tymbardziej się krzywi i tyle kładzie akcentów, ile sylab mieści wyraz i wyrazów zdanie.

Wobec takich wykonawców, nasze przedstawienia popularne mogą się jedynie przyczynić do tego, by niepopularnymi uczynić nawet arcydzieła mistrzów, tymbardziej, gdy przeznaczone są one dla młodzieży, w której budzić dopiero trzeba smak artystyczny i nie odstręczać jej, ale raczej wszelkimi siłami starać się podnosić, a zarazem uprzystępniać prawdziwe dzieła sztuki i pokazywać je w całym blasku nieśmiertelnego ich piękna.

U nas jednak, wraz ze zwyczajem przerabiania garderoby papy na ubranka dla syna, utarło się przekonanie, że to, co dla nas jest już zbyt ciasne i przestarzałe, co pod jakimkolwiek względem nie odpowiada naszym wymaganiom, „ujdzie" jeszcze dla naszych dzieci i choć Kazio kręci nieraz nosem, to dla tego, że nie zna się jeszcze na kolorach i ma fanaberje. Więc niema co krytykować „Lilli Wenedy", bo było to przedstawienie dla młodzieży... A tymbardziej, czyż warto było w niedzielę po południu zaglądać do teatru Letniego, gdzie odbywało się przedstawienie dla dzieci?

Szanujący się krytyk uważałby sobie za ujmę, gdyby miał pisać o widowisku dla dzieci, a szanujące się pisma zadowoliły się wzmianką, iż „na przedstawieniu niedzielnym licznie zebrani milusińscy bawili się znakomicie i z entuzjazmem oklaskiwali piękny utwór p. Stefana Gębarskiego *Zaczarowany flet* i fantastyczny obrazek p. A. Orzyńskiego *Poszukiwacz szczęścia*".

I rzeczywiście oklasków było dużo, szczególniej gdy zniecierpliwiona długim oczekiwaniem „publiczność" domagała się rozpoczęcia przedstawienia. I śmiechu też było dużo, gdy kudłaty Miś na dźwięk zaczarowanego fletu puszczał się w tany, lub gdy ryży Anglik, który w towarzystwie dwuch szpetnych murzynów nie wiedzieć skąd wziął się pod górą Łomnicą, drżąc ze strachu otwierał parasol, by się ukryć przed zgłodniałym niedźwiedziem.

O tak, dla dzieci „ujdą" i takie przedstawienia; a że je nauczymy bezmyślnym śmiechem śmiać się z bezmyślnych błazeństw, to i lepiej, bo inaczej, kiedyś mogliby ci przyszli obywatele kraju przyczynić się do upadku naszej farsy, albo nawet operetki...

Bo śmiech, to jak wino musujące — najłatwiej je podrobić, ale wysokie jego gatunki są trudne do wyhodowania, a dlatego i bardzo cenne. To też literatura wszechświatowa, na ogół biorąc, jest bardzo uboga w dzieła prawdziwego humoru, a satyra, której po wsze czasy życie najwięcej nastręczało gotowego materjału, bardzo nielicznych posiada przedstawicieli.

Śmiać się można ze wszystkiego, ale, by ten śmiech nie pozostawiał po sobie niesmaku, musi w nim tkwić jakiś głębszy pierwiastek, jakiś ton ogólniejszy, który dźwięczyć nam będzie w uszach, gdy śmiać się przestaniemy.

Chłostać obyczaje, to już według łacińskiej maksymy najszczytniejsze zadanie i najwyższy przywilej śmiechu, ale razy jego powinny być rozważne jak myśli wodza i szybkie jak jego ataki, bo jeśli du sublime au ridicule il n'ya qu'un pas, to satyrę również jeden krok tylko dzieli z jednej strony od paszkwilu, z drugiej od farsy.

Ludwik Thoma, autor wystawionej ostatnio w Teatrze Małym „*Moralności*", umie się utrzymać na tej wązkiej krawędzi. Sztuka jego nie odkrywa rzeczy nowych, nie nicuje życia, by gdzieś, w jakimś jego zakątku starannie dotąd okrywanym obłudą, pod maską cieniu odkryć brud lub występek; zwraca się ona przeciwko tej podwójnej buchalterji, która swym zwolennikom pozwala jednocześnie figurować na liście ligi moralności i w spisie członków, wspierających domy publiczne.

Znamy już dokładnie te typy i dlatego pierwszy

akt sztuki, całkowicie poświęcony ekspozycji wewnętrznej, oficjalnej strony ich życia, robi wrażenie nudne i przewlekłe. Pogawędki na temat moralności, która zbyt banalnych znajduje tu obrońców i kiepsko uzbrojonych przeciwników, niecierpliwią tylko, a ruch i życie zaczyna się właściwie od drugiego aktu. Jak grom z jasnego nieba spada na moralizujące podpory społeczeństwa wieść o aresztowaniu p. D'Hauteville, w której domuześrodkowywało się nieoficjalne życie tych panów. W dodatku, w ręce policji dostaje się pamiętnik tej pani z dokładnym wymienieniem nazwisk jej stałych gości. Lęk ogarnia winowajców. Prezes towarzystwa p. n. „Moralność" zjawia się w komisarjacie policji, by uprzedzić kompromitujące rewelacje i zażegnać skandal Ale zabiegi jego nie odniosłyby zapewne żadnego skutku, gdyby nie przyszła mu z pomocą tak zwana racja stanu, okazuje się bowiem, że sam następca tronu bywał gościem p. D'Hauteville, a nawet w chwili jej aresztowania znajdował się w jej mieszkaniu ukryty w szafie. Gorliwy asesor Ströbel, który wszczął tę sprawę, jest w rozpaczy, pragnie ją zatuszować, ale p. D'Hauteville żąda obecnie okrągłych piętnastu tysięcy marek odszkodowania i grozi, że inaczej sama domagać się będzie dalszego prowadzenia śledztwa. Niema więc innej rady i p. prezes towarzystwa „Moralność", mocno zaangażowany w tej sprawie, podejmuje się zebrania żądanej przez p. D'Hauteville sumy wśród swych przyjaciół.

Sztuka, pomijając usterki pierwszego aktu, posiada dużo humoru, a w znakomitym wykonaniu artystów Teatru Małego nie straciła nawet tego niemieckiego lokalnego kolorytu, który nadał jej autor; P. Noskowski był typowym pruskim urzędnikiem mit der Schneidigkeit eines Lieutenants. P. Pytlińska zdecydowała się wreszcie być ładną i z życiem grała rolę pewnej siebie p. D'Hauteville, a p. Orliński jako prezes policji bardzo zręcznie zaakcentował kilka charakterystycznych momentów swej roli.

Stefan Gacki.

SPRAWY EKONOMICZNE

Z Ankiety „Prawdy".

Produkcja krawatów.

(Dokończenie).

Najczęściej spotyka się ten typ pracowni, jak typ średni, najbardziej pospolity, w dzielnicy żydowskiej, położonej bliżej centrum miasta (ul. Nowolipie, Nowolipki, Dzielna, Pawia, Dzika i okoliczne).

Większe pracownie naogół utrzymane są czysto, widać pewną zamożność, co pozwala uwzględniać warunki higieniczne.

Sposób wypłaty jest niejednakowy.

W większych fabrykach odbywa się wypłata co dwa tygodnie lub co miesiąc, stosownie do żądań chałupniczki.

W mniejszych zaś fabrykach, (których jest większość w Warszawie), wypłatę uskutecznia się często co 6 *miesięcy*. System ten przedstawia ogromne pole dla nadużyć wszelkiego rodzaju i tu staje się dopiero widoczną bezbronność chałupniczek przed wyzyskiem ze strony przedsiębiorców, którego formy jak zobaczymy poniżej, pod względem cynizmu i bezwzględności przewyższają osławiony *truck-system*.

Procedura wypłaty odbywa się na zasadach następujących: fabrykant wydaje pracownicom domowym książeczki, do których wpisuje się ilość oddanego towaru do szycia i należną sumę za ilość wykończonych krawatów. Co jakiś czas chałupniczka otrzymuje część należności à conto ogólnego rachunku, który ostatecznie uregulowany zostaje po upływie półrocza. Przy wydawaniu pewnej sumy à conto, przedsiębiorca każdorazowo własnoręcznie wpisuje do książeczki chałupniczki wydawaną sumę i wciąga ją jednocześnie do książki fabrycznej. Atoli, nie bacząc na te formalności, przy ostatecznej wypłacie okazuje się często, że suma wydana chałupniczce w przeciągu półrocza jest większą w książce fabrycznej, niż w książeczce pracownicy — wyjaśnienie przedsiębiorcy brzmi zwykle w takich wypadkach,że zapomniano zanotować w książeczce wydaną kwotę; sprawa kończy się na tym, że kilka rubli pozostaje w kieszeni fabrykanta i tym sposobem różnica ta zostaje całkowicie wyrównaną.

Nie koniec na tym. Ustanowiono niczym nie objaśniony zwyczaj, że przy ostatecznym regulowaniu rachunku, pracodawca w formie nieznanego dotychczas wyzysku, odejmuje pewien procent (od 3—5) na rzecz krojczych, zatrudnionych w fabryce i opłacanych przez przedsiębiorcę — wyzysk ten, noszący formę średniowiecznego haraczu, stał się zupełnie normalnym i wydatek ten wchodzi jako część składowa do budżetu chałupniczki, narówni z wydatkami na nici i watę przy szyciu krawatów (podatki te wynoszą $1^1/_2$ kop. do tuzina).

Dalej, zdarza się, że przy masowej produkcji ginie w domu pracownicy kawałek materjału, stanowiący np. $^1/_5$ krawatu, dzięki czemu pojedyncza sztuka nie może być wykończoną — wówczas krawat ten zostaje oddany na własność chałupniczce, za co fabrykant odlicza pewną sumę, równającą się często wartości $^1/_4$ tuzina gotowych krawatów — przedsiębiorca ustanawia ceny takie tym łatwiej, że pracownica nie jest w stanie udowodnić mu ile właściwie wynosi wartość materjału, z którego skrojony został ten pojedynczy krawat.

Następnie, zachodzą wypadki wyzysku w formie najzwyklejszego rabunku, przewidywanego przez kodeks karny. Ma miejsce to również przy regulowaniu półrocznego rachunku — przedsiębiorca wystawia pozycje strat, które przyjąć na siebie w znacznej części zmuszona jest chałupniczka. A dzieje się to pod tym pretekstem, że w ciagu tych 6-ciu miesięcy towar wydawany pracownicy stracił na wartości, ponieważ dany fason krawatów wyszedł zupełnie z mody i został zastąpiony przez inne fasony, dzięki czemu znaczna ilość towaru leży bezużytecznie w szafach fabrykanta.

Wówczas przedsiębiorca zupełnie na zimno, w sposób niesłychanie cyniczny odtrąca z rachunku pracownicy znaczną sumę pieniędzy, tytułem wyżej wskazanych strat. I tak np. jeśli ogólna suma należności wynosi 180 rb. a àconto wzięto rb. 90 i pozostaje do odebrania rb. 90, to fabrykant odejmuje rb. 25 i wypłaca pozostałe 65 rb... Żadne protesty, jak mnie objaśniano, nie pomogą. Na pytania moje, czemu wówczas sprawy nie kieruje się na drogę sądową, otrzymywałem odpowiedź, że jest to rzeczą niemożliwą, gdyż to pociąga za sobą koszta, stratę czasu i w dodatku wygranie sprawy przedstawia się w świetle niepewnym, fabrykant bowiem rozporządza znaczniejszym zasobem środków.

Zbyteczne tu chyba objaśniać, jak widoczną jest potrzeba sądów rozjemczych, na wzór istniejących i znakomicie funkcjonujących we Francji. Dzięki zasadom organizacyjnym tych sądów, sprawa taka jak powyższa, nie przedstawiałaby żadnych wątpliwości wygranej i pokrzywdzona pracownica mogłaby bez straty czasu i nakładu kosztów znaleźć na tej drodze odpowiednie zadośćuczynienie. Powracając do szeregu nadużyć, należy zanotować jeszcze jedną formę wyzysku, która w produkcji krawatów nosi nazwę „podatku".

Wobec kolosalnej konkurencji wśród chałup-

niczek [1]), polegającej na tym, że każda z nich stara się o jaknajwiększą ilość roboty, krojczy zatrudniony w fabryce i mający poważny głos u przedsiębiorcy, wydaje największą ilość roboty tej pracownicy, która uiści największy „podatek" (łapówkę) na jego ręce. „Kto daje więcej — dostaje więcej". Podatek ten wynosi półrocznie od 10—20 rb. co przy wyżej omówionym haraczu, w stosunku do ogólnych zarobków przedstawia potwornie wielką sumę.

To też, na zasadzie obserwacji stwierdzić można, że chałupniczki pod względem dochodów i sposobu życia, niczym się nie różnią od swoich podręcznych. Na pytania moje, co według nich można uczynić w chałupnictwie w celu polepszenia warunków, otrzymywałem dość często odpowiedź, że najradykalniejszym środkiem byłoby zniesienie chałupnictwa, i one z chęcią zrzekłyby się swej roli pracodawczyń „z drugiej ręki" i swej pozornej samodzielności, — tendencja ta daje się wyrazić słowami jednej chałupniczki, że „z rozkoszą poszłaby do takiej wielkiej fabryki, z wielkim kominem i na wołanie świstawki stawałaby do pracy, by móc się już dziś wyzwolić z ciężkich robót jakie przedstawia wytwórczość domowa".

Henryk Lukrec.

Z PRASY.

Obrońcy autorytetów poselskich.

Pan Dmowski istotnie złożył mandat. Obwieściwszy to światu *Głos Warszawski* w sposób równie niemądry jak nieprzyzwoity mści się na tych organach prasy które jego politykę zwalczały, a jego rezygnację z zadowoleniem i uznaniem przyjęły. Jego wylewy żółci i jadu przeciw „gawiedzi" lub „hołotce dziennikarskiej", przeciw „rozpasanym orgjom rycerzy pióra" przekraczają wszelką miarę tego, do czego nas najzapalczywsza polemika przyzwyczaiła. Początek tej kampanji stanowi bezimienny artykuł „O przyszłość najbliższą" wzywający do szanowania i popierania powag poselskich, a kulminacyjny punkt osiąga ona w artykule p. Sadzewicza p. t. „Jeden z powodów".

„Jeden z powodów" które skłoniły p. Dmowskiego do złożenia mandatu, była „naganka pismaków Warszawskich" — mówi p. Sadzewicz i rzuca przytym mimochodem ohydną uwagę: „wszystko to było robione z taką gorliwością, jakgdyby w prasie naszej pracowali tajni agienci naszych wrogów". Taki obelżywie brudny domysł, a raczej wymysł świadczy o godnej pogardy lichocie moralnej autora, tak jak cały artykuł jest świadectwem bezmiernej, pożałowania godnej tępości umysłu.

Dowiadujemy się więc że p. Dmowski oparł swą politykę na *autorytecie osobistym*, niby jakiś z góry mianowany gubernator lub naczelnik powiatu i że ci „*którym dał odczuć swą rękę w kraju* korzystając z jego oddalenia zaczęli z nim regulować rachunki". Dziennikarze warszawscy „spoufalili się z nim" — podobno, czego im p. Sadzewicz darować nie może.

Zaprawdę — nawet Wilhelm II-gi w swych najcharakterystyczniejszych chwilach nie przybiera tak autokratycznego tonu — jak imieniem p. Dmowskiego p. Sadzewicz; nie możnaby też chwycić się lepszego środka do ośmieszenia pana Dmowskiego niż podobnego rodzaju obrona.

Zapowiada p. Sadzewicz, że p. Dmowski poświęci swój czas wewnętrznej pracy w kraju, przez co zapewne rozumieć należy poskromienie „spoufalonej" „hołotki dziennikarskiej", której były prezes Koła da znowu „poczuć swą rękę".

Nie domyśla się nawet pan S. w swej zdumiewającej ograniczoności, że autorytetu osobistego nie zdobywa się gęstą miną lub ciężką ręką, że on może być tylko wynikiem zaufania zdobytego niepospolitymi zaletami umysłu i charakteru, a kto posiadając zaufanie większości i pole do wykazania tych zalet, autorytet stracił, ten widocznie zawiódł oczekiwania, widocznie był przeceniony przez głos opinji. Nie on do ogółu, lecz ogół do niego może mieć słuszną pretensję, miotanie się jego ordynarnych obrońców nic a nic tu nie pomogą. Jeżeli zaś p. Dmowski pragnie w kraju pracować nad odzyskaniem utraconej powagi, niech najprzód poskromi swoich Sadzewiczów, którzy go w tak kompromitujący sposób bronią.

Powagę posła podtrzymuje tylko stojąca za nim siła moralna, „siła opinji polskiej" — której służy właśnie „hołotka dziennikarska" — usiłując dać wyraz potrzebom, dążeniom i ideałom społeczeństwa. Służbę tę pełnić będzie nadal mimo pogróżek i krzyków tych, którzy jej chcą nakazać milczenie lub dyktować nieszczere na rzecz urojonych wielkości dytyramby. *m.*

Z prasy rosyjskiej.

Z powodu ogłoszonego budżetu miasta Warszawy *Nasza Gazeta* pisze:

„W miastach Królestwa Polskiego, projekt samorządu, błąkający się już od tak dawna w rozmaitych instytucjach, będzie wniesiony do Dumy dopiero w przyszłym roku. W ten sposób, sprawa, która jeszcze za hr. Berga poruszaną była — znowu się odwleka. W okresie ruchu wolnościowego postanowiono przyśpieszyć reformę miejską w Polsce. Zostały zwołane nowe komisje, tym razem z udziałem „przedstawicieli" społeczeństwa, lecz sprawa znowu ugrzęzła w kancelarjach i wędruje w dalszym ciągu pomiędzy Petersburgiem a Warszawą, napotykając na tej drodze na coraz to nowe przeszkody. Miasta Królestwa Polskiego jeszcze ciągle są rządzone na mocy praw z lat 1816 i 1818—uszczuplonych następnymi ukazami. Tymczasem niemal codzień mamy dowody absolutnego niedołęstwa istniejącej gospodarki miejskiej.

Ciekawy jest n. p. budżet miasta Warszawy na r. 1909. Cyfra jego jest bardzo poważna 9,462,990 rb. Dług miasta wynosi 43,329,495 rb.; główną cyfrą wydatków są procenty i umorzenie długów — przeszło $2^1/_2$ mil. rubli. Wydatek na zakłady dobroczynne 1,200,000 rb.; na policję 1,073,000 rb.

W porównaniu z tymi cyframi nadzwyczaj oryginalnie przedstawia się asygnowanie na szkoły miejskie 490,000. „Nic więc dziwnego", powiada autor artykułu, „że Warszawa liczy przeszło $46^1/_2$% analfabetów".

„Ciekawe są jeszcze, mówi on w dalszym ciągu, następujące cyfry budżetu: na przejazd urzędników rosyjskiego pochodzenia przewiduje się wydatek 5,000 rb., zapomoga na inne potrzeby urzędników tegoż pochodzenia 12,500 rb., zapomoga na wychowanie córki prezydenta Litwińskiego, Natalji na r. 1909 rb. 150, i na syna tegoż, rb: 100. Zarządzającemu kancelarją Warszawskiego Oberpolicmajstra Świnarskiemu, na wychowanie córek Aleksandry i Marji po 150 rb. Tyleż urzędnikowi do szczególnych zleceń i t. d. — Razem suma 2,700 rb — Następnie idą wydatki na „dodatki do pensji": prezydentowi Litwińskiemu 487 rb. inspektorowi lek. Troickiemu 615 rubli. Roz-

[1]) W krawaciarstwie naliczyć ich można do 800 — zaś uczennic do 3000.

maite sumy panom: Puszkinowi, Jegorowowi, Sokołowowi i innym

Prócz wyszczególnionych wyżej wydatków w budżecie figuruje suma 19,752 rb. na rozmaite nieogłaszane wydatki.

„W ogólności”, kończy autor swój zajmujący artykuł zestawieniem, że „tak wielkie miasto jak Warszawa ma tak małe wydatki na cele kulturalne: wydaje ona o 3 razy mniej niż Moskwa i Petersburg — a 20 razy mniej niż Berlin”.

Nasza Gazeta w artykule „Posłowie a interesy praktyczne” donosi: „w kołach kolejarzy mówią że członkowie należący do większości w Dumie — między innymi, neosłowianin p. Iskryckij i inni zabiegają około uzyskania prywatnych koncesji kolejowych.

Biskup Eulogjusz nie organizuje towarzystw kolejowych, ogranicza się tylko na „polecaniu” niektórych osób jako założycieli Tomaszowskiej kolei”.

Z polityki zagranicznej.

Wszystkie dochodzące nas z widowni europejskiej wiadomości świadczą o powszechnym usiłowaniu zażegnania wiszącej nad horyzontem burzy. Wieści o konferencji międzynarodowej ucichły, natomiast wciąż słychać o układach między poszczególnymi mocarstwami, zmierzających do załatwienia na piśmie sporów, które grożą krwawym starciem na placu boju. Tak więc Turcja, potrzebująca spokoju dla utrwalenia nowego porządku konstytucyjnego, prowadzi układy równocześnie z Austrją i Bulgarją. Pierwsze są przyczyną rozpaczy Serbji, która, zagrożona w swym istnieniu na solidarność Turcji liczyła, drugim towarzyszy obustronna pośpieszna mobilizacja, stanowiąca środek do wymuszenia ustępstw. O szybkim załatwieniu jednych lub drugich myśleć nie można; zbyt wiele i zbyt sprzecznych interesów w grę tu wchodzi. Dyplomacja rosyjska skorzystała z bułgarsko-tureckich układów, by zaproponować pośrednictwo, którego czysty zysk przypadłby pośrednikowi, mianowicie skwitowanie Turcji z części kontrybucji, zalegającej od czasu wojny z roku 1878-go, a przejęcie zobowiązań pieniężnych Bułgarji względem Turcji za Rumelją wschodnią. Ponieważ nikomu nie ciężą długi, których nie płaci, a zamiana niepewnego dłużnika na pewnego jest zawsze korzystną, łatwo zrozumieć, że propozycja ta bardziej się podobała w Petersburgu, a wreszcie i Sofji niż w Konstantynopolu. Turcja też oddowiedziała kontrpropozycją, czyli ofiarowała się skwitować Bułgarję nie za umorzenie części, lecz całości jej zobowiązań względem Rosji. Nie zyskałaby wprawdzie gotówki, ale otwarty kredyt i pewną finansową niezależność w stosunku do Rosji, która natomiast umocniłaby na długie lata swe wpływy w Bułgarji.

Odpowiedzi na propozycję turecką jeszcze niema; wymaga ona pewnego namysłu, gdyż chodzi tu o różnicę 68 miljonów. Nie przyczyni się też zapewne do przyśpieszenia układów cichy udział w nich innych mocarstw europejskich, z których każde, uważnie śledząc ich przebieg, nie traci z oczu własnych interesów.

To skoncentrowanie „pokojowych” usiłowań na Półwyspie Bałkańskim wyszło na dobre sprawie marokańskiej. Niedawno tak jeszcze zaogniona, przystygła o tyle, że możliwym był układ między Niemcami i Francją zabezpieczający interesy ekonomiczne Niemiec, polityczne Francji i spokój względny aż do dalszych wypadków.

Układ ten podpisano rozmyślnie w dzień uroczystego wjazdu króla Edwarda do Berlina. Wizyta ta również poczytywana być może za wróżbę pokoju lub co najmniej za próbę utrwalenia go. Jest bowiem rzeczą przewidywaną, że będzie w ciągu niej poruszoną drażliwa kwestja ograniczenia uzbrojeń, stanowiąca oś antagonizmu niemiecko angielskiego. Manifestacyjne wyróżnianie berlińskiej reprezentacji miejskiej, stanowiącej jak wiadomo w stolicy Niemiec żywioł radykalny i opozycyjnie nastrojony względem „rządów osobistych”, jest zaakcentowaniem kierunku politycznego króla — demokraty, który jest raczej nie władcą lecz przedstawicielem swej ojczyzny i jej najlepszych tradycji.

Oto właśnie obecnie na ziemiach, połączonych pod jego berłem, dokonywa się mało zwracająca uwagi, lecz niezmiernie znamienna ewolucja polityczna; tworzy się mianowicie Rzeczpospolita południo-afrykańska, oparta na zasadach demokratycznych i na równouprawnieniu niedawno zwalczających się narodowości: holenderskiej i angielskiej. Będzie ona zapewne równie niezależną w swym wewnętrznym rozwoju jak Federacja Australijska, a zwierzchnictwo króla angielskiego pozostanie jedynym zewnętrznym łącznikiem kolonji z metropolją. Silniejszym będzie czynnik wewnętrzny: poczucie solidarności z potęgą, która broni i osłania, ale nie ciśnie.

R.

KRONIKA.

— W d. 8 b. m. w Dumie państwowej odczytano zawiadomienie p. R. Dmowskiego o tym, iż z powodu braku zdrowia składa mandat poselski.

— W Petersburgu rozeszła się pogłoska, iż gubernatorem nowej guberni Chełmskiej ma być mianowany dotychczasowy gubernator siedlecki Wołżyn.

— Z kół poselskich Petersburga donoszą, iż kadeci w sprawie utworzenia gub. Chełmskiej zażądają plebiscytu.

— Skrajna prawica w Dumie państwowej wnosi projekt prawa, wprowadzający karę śmierci dla przestępców kryminalnych.

— Z Konstantynopola donoszą iż rząd rosyjski odrzucił kontrpropozycję turecką w sprawie proponowanego przez Rosję załatwienia sporu turecko-bułgarskiego.

— W dzień przyjazdu do Berlina Edwarda VII partja socjaldemokratyczna zwołała liczne wiece, na których uchwalono domagać się od rządu przedsięwzięcia środków przeciwko przymusowym bezrobociom.

— Skandal, jaki rozegrał się na piątkowym posiedzeniu w parlamencie Wiedeńskim, minął przebieg tak gwałtowny, jak się to nigdy dotąd nie zdarzyło. Czesi zażądali odwołania frazesu Mataji o „dopuszczalności“ języka czeskiego w służbie pocztowej. Okrzyk „precz z Bienerthem, był hasłem do straszliwej kociej muzyki — dzwonki, bębny, gwizdawki i trąby, gwałtowne uderzenia w pulpity splotły się z dzikim wrzaskiem ludzkim. Bienerth musiał opuścić salę — prezydent korzystając z chwili ciszy wyrzekł słowa „sesja zostaje zamknięta“. Z jednej strony huczny oklask, z drugiej przeraźliwe krzyki — i rozpoczęła się bijatyka. Wielu posłów z obu stron jest silnie poszwankowanych. Wobec zamknięcia sesji — musi nastąpić nowy wybór prezydjum, całego biura Izby i wszystkich komisji.

— Z Wiednia donoszą, iż w nowosformowanym Gabinecie pod prezydencją Bienertha, ministrem finansów zostaje dotychczasowy gubernator Banku Austro-węgierskiego Biliński, ministrem handlu Weisskhirchner a ministrem dla Galicji pozostanie nadal Abrahamowicz; pozostałe teki obejmą wyłącznie urzędnicy.

— Z Rotterdamu donoszą iż w dniu 7 b. m. pozbawieni pracy robotnicy zorganizowali burzliwy mityng, następnie zaś uliczną demonstrację, podczas której doszło do bójki między policją a tłumem. Dokonano licznych aresztowań.

— Z Kairu donoszą iż członkowie Egipskiej Rady Prawodawczej na posiedzeniu w d. 8 b. m. w znacznej większości wypowiedzieli się za utworzeniem w Egipcie izby deputowanych.

— We Lwowie powstało Tow: im. Piotra Skargi. Tow. w szumnej odezwie pod wezwaniem „Bóg i Ojczyzna", stawia sobie za cel walkę z hasłami wywrotowymi i rozkładem panującym w literaturze. W tym celu rozpoczyna wydawnictwo popularnych broszur w duchu narodowo - katolickim.

— Kasa imienia dr. Mianowskiego ogłasza, że w r. b. przyznane będą 2 nagrody pieniężne z zapisu J. Natansona za najlepszą pracę z dziedziny nauk matematyczno-przyrodniczych i filozoficzno-społecznych, ogłoszone drukiem w latach 1905 - 1908.

— Towarzvstwo krajoznawcze ogłosiło konkurs z gieografji zoologji, botaniki, gieologji, etnografj i fotografji. Wymagany jest opis pewnej okolicy kraju, lub też odpowiednie zbiory. Wybór tematu dowolny, byle nie wykraczał z granic ziemi polskiej. Do konkursu stawać może tylko młodzież kształcąca się bez różnicy płci. Nagrody: książki, przyrządy, lub dyplomy uznania.

— Kultura podaje ciekawą statystykę polskiej prasy, według katalogów księgarzy związkowych: dzienników wychodzi w Warszawie 11, tyleż na prowincji i w Cesarstwie; miesięczników i dwutygodników 57; tygodników w Warszawie 51, na prowincji 4 w Cesarstwie 6. Pism sezonowych w Warszawie 1, na prowincji 1, dzieł w drodze prenumeraty 14. Ogółem wydawnictw perjodycznych w języku polskim stale wychodzi w kraju i zagranicą (licząc te, które mają wstęp do nas) 196.

— W r. 1908. Amerykanie złożyli na cele publiczne 170 mil. rb. Z tej kwoty przypada na oświatę 36,5 mil. dol.; na cele humanitarne 39,7 mil. dol. Na Muzea i galerje 9,4 mil. dol. na bibljoteki 850 tys. dol.

— Wdowa po Joanie Kronsztadzkim ma otrzymywać 4,000 rb. rocznej emerytury.

— W dniu 7 b. m. zmarł Erazm Jerzmanowski b. uczestnik powstania 1863 r. Dorobiwszy się w Ameryce olbrzymiego majątku, ostatnie lata spędzał w wiosce swej Prokocimie pod Krakowem. Pomiędzy innymi zmarły zapisał Krakowskiej Akademji Umiejętności 1,200,000 koron, z warunkiem aby z procentów od tej sumy przyznawano nagrodę za najlepszą pracę literacką, oraz 50,000 rb. na ochronkę w Warszawie, którą dotąd utrzymywał swoim kosztem.

— W dniu 9 b. m. zmarł znany poeta i powieściopisarz francuski Catulle Mendès.

— W d. 8 b. m. zmarł po dłuższej chorobie umysłowej, drugi z dwuch znanych w świecie artystycznym Francji aktorów, Ernest Coquelin, młodszy.

OFIARY.

Na wpisy dla biednych uczniów: od pracowników Tow. Nikopol - Marjupolskiego w Sartanie: Z. Wasilewski rb. 10, F. Jabłkowski rb. 10, T. Kobyliński rb. 3, J. Tomaszewski rb. 1, St. Prauts rb. 3, S. Pilawski rb. 1, B. Jankowski rb. 3, G. Wenker rb. 3, J. Woroszyłło kop. 50, Z. de O'Byrn kop. 50, J. Tarkowski rb. 1 kop. 50, A. Misiewski kop. 50, Cz. Padarewski kop. 50, Z. Mierzyński kop. 50, S. Szczawiński rb. 1. Ogółem 39 rubli.

Na wpisy szkół prywatnych polskich: W. Nikorowicz z Rossochowska rb. 20.

Na instytucję im. Al. Świętochowskiego: (do rozporządzenia komitetu jubileuszowego) W. Nikorowicz z Rossochowska rb. 20.

Prenumerata „Prawdy" (wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 5 — 7 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 2. i od 4 do 7 pp.

Wydawca: **Józef Jabłoński.** Redaktor: **Roman Nowakowski.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.